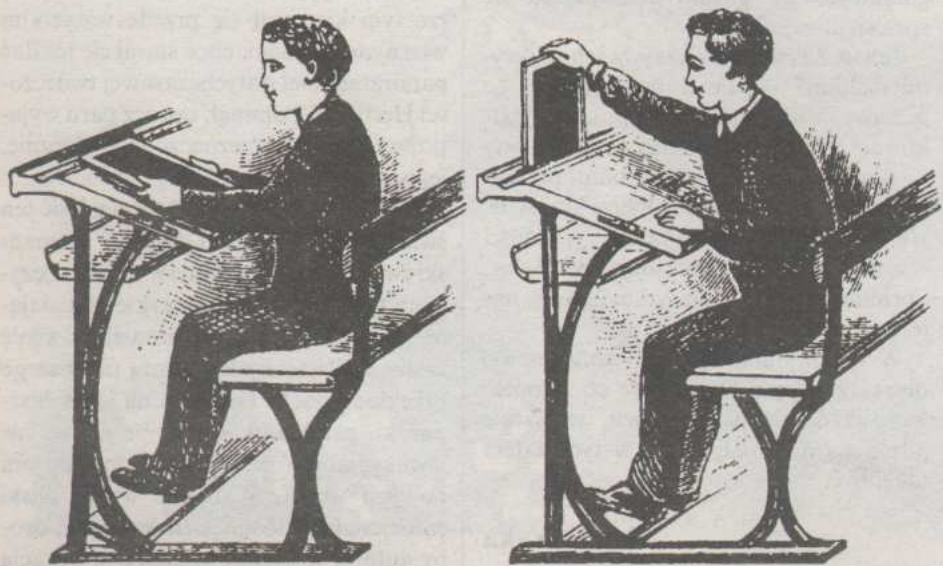


DEKADA Literacka

Maciej Urbanowski o autentyzmie „Szkiców piórkiem” ■ Andrzej Bobkowski do Kazimierza Wierzyńskiego
■ Wiersze Josifa Brodskiego ■ Nowa proza Andrzeja Brauna ■ Recenzje ■ Felieton Teresy Walas



Nauczyciel w szkole dnia dzisiejszego

Włodzimierz Maciąg

Istnieje w naszej pamięci pewien model nauczyciela szkolnego ukształtowany w społeczeństwach rządzonych autorytarnie, nauczyciela, który jest funkcjonariuszem władzy. Zadania zawodowe takiego nauczyciela sprowadzają się do wpajania uczniom posłuszeństwa wobec panującego porządku, wychowywanie staje się swoistą tresurą umysłów, a przekazywanie wiedzy prowadzić ma do uzyskania pożądanych zachowań i emocji: myślenie wychowanków ma być wyrazem, jeśli nie entuzjazmu, to co najmniej aprobaty świata, systemu, hierarchii, jakich strzeże państwo. Takich nauczycieli produkował np. carat rosyjski i nigdzie może nie mają oni wyrazistszych portretów, jak w znanych tekstach Żeromskiego. Nie tylko o to chodzi, że nauczyciel stawał się narzędziem rusyfikacji, że wykorzeniał wychowanków z rodzimej tradycji, co przede wszystkim budziło wściekłość narratora owych tekstów. Zadanie jego polegało także na czymś innym jeszcze: na wpajaniu przekonania o nieodwołalności porządku, jaki istnieje — trwałości autorytetów, dalekowzroczności władców i rozumności ich prawa, siły i skuteczności egzekutorów tego prawa, czyli policji. Marcin Borowicz (z *Szyfowych prac*) nie tylko uczy się rosyjskiego, uczy się także podziwiać potęgę cara i urodę jego dworu, przyswaja sobie wiedzę o powołaniu „świętej Rusi” do przewodzenia Słowiańszczyźnie. Marcin ma być niezawodną częścią pewnej struktury i w niej właśnie znaleźć upodobanie.

Szczęśliwy przypadek zrzucił, że Marcin uniknął tego wszystkiego. Niestety jednak nie znika z cywilizacji (wschod-

nio)-europejskiej ów nauczyciel, który pojawia się w roli tresera umysłów. Ów nauczyciel, którego pierwszym obowiązkiem jest podobać się władzy, żyjący w stałym poczuciu zagrożenia, a więc nieuchronnie nadgorliwy wobec zwierzchności, nie zabezpieczony w żaden sposób przed korupcją. Było założeniem władzy, aby nauczyciel ten był **marnie opłacony**, bo w takim najskuteczniej zagnieździ się strach i lizusostwo, gotowość do nadgorliwości w oczekiwaniu nagrody. Pewien mędrzec napisał niegdyś, że takie będą rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie. Takie będą społeczeństwa, jacy nauczyciele, bo chowanie młodzieży komuś przecie jest powierzane i ktoś za nie odpowiada.

Zaraz po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku zaczęto myśleć o innym modelu szkoły i innej w takiej szkole roli nauczyciela. Nie bardzo jednak umiano sobie tego innego nauczyciela wyobrazić i sam fakt, że będzie on zawsze opłacany przez państwo zdawał się podpowiadać, na czym polegać mają jego wychowawcze zadania. Może lepiej miał być wynagradzany niż za czasów carskich, rozumiano przecież, że jakkolwiek prestiż społeczny, jakkolwiek autorytet pedagogiczny, powiązany jest z wysokością zarobków. Ale państwo, zadania państwowe, trwałość i bezpieczeństwo państwa, wpisywane były coraz chętniej do programów edukacji, których realizacji oczekiwały władze od kogo przede wszystkim? Od nauczyciela. Prasa podporządkowana była interesom partii politycznych, radio docierało do niewielkiej jeszcze części

DOKOŃCZENIE NA STR. 10

Josif Brodski

Grudzień we Florencji

On odchodząc nie obejrzał się...

Anna Achmatowa

I

Drzwi wciągają powietrze, wydychają parną mieszanę. Już nie wrócisz tu, gdzie ludzie gwarną ulicą spacerują parami nad Arno, jak nowe czworonogi. Trzask drzwi. I jedno zwierzę za drugim wchodzi wolno na jezdnię. W atmosferze tego miasta istotnie jest coś, co w jakiejś mierze przypomina las. Piękne miasto. Tu w pewnym wieku bez trudu się odrywa oczy od człowieka i odruchowo kołnierz unosi się z lekka.

II

Wzrok w mokrym mroku łyka lampy — mrugając powieką — jak lekarstwo na pamięć; i powie ku przestrodze o dwóch minutach drogi do Signorii — po wieku robiąc głuche aluzje również po części do przyczyny wygnania: gdy obok wulkan się mieści, nie jest możliwe życie bez pokazania pięści; nie wolno jej otworzyć nawet umierając, dlatego, że śmierć może stać się czymś w rodzaju jakiejś drugiej Florencji z architekturą Raju.

III

W południe kot pod ławką sprawdza, gdzie są w tej chwili cienie. Na Starym Moście (właśnie go naprawili) tam, gdzie na tle sinawych wzgórz majaczy Cellini, z zapalem się handluje galanterią wszelaką: szemrzące fale skubią gałązki zabrane krzakom. Złote loki ślicznotki — pochylonej nad jakąś rzeczą tkwiącą wśród pudeł, drobiazgiem wyjątkowym, pod spojrzeniem handlarek chytrym, niemal surowym — są jak ślady anioła w krainie ciemnogłowych.

IV

Człowiek zmienia się w szelest pióra, w jego zawile kręcone pętle liter i w poślizgu co chwilę stawia przecinki, kropki. Pomyśleć tylko ile razy dostrzegłszy, że „m” w zwyczajnym słowie tkwi, pióro się potykało i unosiło brwi. To znaczy, że atrament uczciwszy jest od krwi i twarz w mroku, gdy słowa są z zewnątrz, z drugiej storny (a w ten sposób wilgoci jest szybciej pozbawiona) w uśmiechu się wydaje papierem pogniecionym.

DOKOŃCZENIE NA STR. 5

Przypomina się przy lekturze numeru czerwowego pozycja dosyć archaiczna — *Nowa literatura w nowej Polsce* Pomirońskiego; bardzo dużo bowiem znajdujemy tutaj „nowości” w różnych aspektach. Chciałabym się przyjrzyć niektórym z nich, bo wydało mi się, iż warto zwrócić na nie uwagę. Autorzy całości wybaczą zaś, iż będę sprawozdawcą stronicznym, a nawet zgola lokalnym — napiszę bowiem o wielkiej prezentacji numeru: dotyczy ona grupy „brulionu”, niegdyś bez wątplenia krakowskiej, dziś już rozkawałkowanej na warszawski mózg (Tekieli) i krakowskie członki (Baran, Świetlicki, Koehler), ale wciąż, mimo tego podziału, interesującej.

Rozmowa-rzeka, jak z poetami „brulionu” przeprowadził Paweł Rodak, zawiera parę punktów, na które szczególnie, moim zdaniem, warto wskazać. Powiedziałyby najpierw, iż dojrzejając, a nawet, o zgrozo, starzejąc się, poeci „brulionu” kłócą się i epatują z mniejszym jakby przekonaniem niż to dawniej czynili. Zatem prezentują sprawdzony już wielokrotnie przypadek „buntu ustecznego”, pomimo różnych horrendów, które próbują nam zakomunikować. Ale są — w sumie — myślowo ciekawsi i wolę ich obecne pomysły, niż niegdysiejsze obsceniczne fajerwerki.

To, że brulionowcy do nikogo, jako debiutanci, nie dołączyli, nigdzie się, na dobrą sprawę, nie włączyli, wyszło im w efekcie na zdrowie. Kiedy dziś Koehler mówi o „starszych ethosmanach”, wydaje mi się, iż rozumiem, o co mu chodzi, a nawet akceptuję jego intencje. Niedawno jeszcze skłonna byłabym zażarcie bronić tego etosu oraz jego nosiciela, kimkolwiek by on nie był. Dzisiaj widzę, iż etos wyżył się do końca i nie sposób wskrzesić go nowym ogniem.

„Brulion” proponuje inną jakość intelektualną — kontynuuje Koehler, zaś Świetlicki powiada: „to pierwsza naprawdę dwudziestowieczna literatura w Polsce”. Takie dictum dziwi rozmówcę — ale to nie pomyłka, jednak nie chodzi o wiek XXI! Dopiero „brulion” otworzył wrota dla prawdziwie XX-wiecznego rozumienia indywidualności twórczej. „Ostatnie półwiecze w literaturze polskiej

jest wynaturzoną kontynuacją wieku dziewiętnastego” — twierdzi Marcin Baran. Z tego stulecia pochodzi Herbert, Szaruga, Konwicki, Brandys, inni...

Ale coś się tutaj, mimo wszystko, nie zgadza. Przecież to indywidualści właśnie, czasem skrajni, egocentrycy zgola. Że gustem społecznym zdeprawowani i jemu się poddający? Że piszący pod presją specyficznego zamówienia odbiorcy? Że tym sposobem anachroniczni? Otóż chętnie był poznała obszerniejszą odpowiedź na te wątpliwości, bo może jej po prostu, z perspektywy mojego doświadczenia, nie potrafię dostrzec.

Zgadzam się natomiast, iż zaczynają umierać instytucje literackie, związki,

RAZ W MIESIĄCU

Nowa Res Publica

stowarzyszenia. Młodym już niewiele po nich — albo też uda się nam, zabytkom poprzedniej epoki, uczynić z owych instytucji jakąś naprawdę atrakcyjną, nową formę intelektualnej wspólnoty, choćby chwilowej, choćby momentalnej (bo indywidualności na dłużej w żadne zbiorowe zabawy nie dadzą się wciągnąć...). Opartą nie na hierarchii zasług w organizacji, lecz właśnie na jakości pomysłu myślowego. Czy widzę taki pomysł? Wszystko będzie zapewne sprawą wymyślenia nowego języka intelektualnej refleksji, zagubionego teraz i pozbawionego prężności — może właśnie przez etos, przez obowiązek, przez powinność?

„Polska jako busz do opisanie” — poeci „brulionu” uczynili duży krok, aby takie zadanie, przez nich wymyślone, zrealizować.

Rozmowa redakcyjna, która następuje

mościach Literackich” coraz więcej artykułów oskarżających ZSRR. Wystarczy wymienić drukowany tu *Powrót z ZSRR* Andre Gide’a, satyryczny reportaż o koronacji Stalina na cara oraz liczne kroniki tygodniowe Stonimskiego.

Czy kłamstwem jest twierdzenie, że w Polsce czytano Aleksę Tolstoją, Szolochowa, Erenburga? Trudno powiedzieć, czy byli pocytni w czasie wojny. Ale na pewno byli znani i wysoko cenieni przez ich polskich czytelników sprzed wojny. Teodor Parnicki nazwał wówczas *Piotra Pierwszego* „najwybitniejszą powieścią historyczną XX wieku” („Kurier Literacko-Naukowy”), Karol Stefan Frycz — „arcydziełem” („Prosto z mostu”). Ze szczególnym uznaniem pisano o *Cichym Donie* — m.in. Rafał Blüth, Julian Wołoszynowski, Zbigniew Grabowski, Dołęga Mostowicz. Nawet *Zaorany ugór* określił Parnicki (w języcznym „Przeglądzie Tygodniowym”) jako dzieło „komunistyczne, propagandowe” — ale „wysokiej klasy”. Popularność Erenburga w latach trzydziestych zmniejszyła się, wcześniej jednak musiała być wysoka, skoro Tadeusz Makarewicz pisał w roku 1935 w „Nowej Książce” o jego „mijającym już kulcie”. (Cytaty z książki J. Urbańskiej *Radziecka powieść rosyjska w Polsce w latach 1933–1939*, Wrocław 1988; celowo wybieram nazwiska i tytuły pism, których o prosowieckie sympatie nie można podejrzewać.) Oczywiście oceny takie mogą się dziś nie podobać, można nad nimi ubolewać, ale nie można twierdzić, że zainteresowanie literaturą sowiecką w tym czasie to „kłamstwo” wymyślone przez prokomunistycznych manipulatorów.

Henryk Markiewicz

Kraków, czerwiec 1993.

po tej autoprezentacji, nosi tytuł *Nowi poeci ojczyzny*. Bardzo trafny i oczywiście przywołujący kontekst Skamandra. Ale kogo — naprawdę — chcieliby „brulionowcy” zakasować? Nie Skamandra oczywiście, lecz Nową Falę, a także bezpośrednich swoich poprzedników (Maja, Polkowskiego). Na ile im się to, jak dotąd, udało? Otóż można już dziś powiedzieć, iż są generacją talentów — podobnie więc jak Skamandrycy i nowofalowcy. Lecz ich talenty innej są jakości, bo też wyrosły na innym zupełnie podłożu — w sensie czasu, który im towarzyszy. Bo to ma być chyba taka kolejność — nie oni czasem swoim dotrzymują kroku (czyli dają świadectwo), lecz oni czasy te kształtują swoją wrażliwością. I w tym odwróceniu kolejności tkwi, moim zdaniem, brulionowa indywidualność i oryginalność, tak głośno domagająca się sprawiedliwości.

Julian Kornhauser nazywa ich „nowymi dzikimi” — ale ci barbarzyńcy, co ciekawe, wydali na świat „poezję wyjątkowej urody”. Ich nieco spóźniony — według Kornhausera — bunt, przerodził się w jakości czysto literackie. A te, jak wiadomo, mają szanse trwałości w czasie. W sumie interesujący wielogłos „brulionu” zaczyna klasycznie. Czy nas jeszcze zaskoczy?

W tymże numerze *Res Publici* nowej obowiązku o feminizmie co odnotowuję jako swoisty fenomen, wszystkie pisma nawiedzający. Coś w tym zatem musi być.

Marta Wyka

PS. Po napisaniu powyższego przeczytałam w „Apokryfie” — dodatku „Tygodnika Powszechnego” — wiersz Marcina Świetlickiego *Świat*. Ponieważ dodatek jest na temat podróży, więc i wiersz traktuje o podróżowaniu. Dawno już nie spotkałam równie pociągającej i świetnej realizacji tego odwiecznego poetyckiego i przez to zbanalizowanego tematu-toposu. Trochę się przypomina najlepszy Iwaskiewicz (to komplement!), ale tekst błyszczący inwencją godną podziwu. A więc dalej z wszystkiego robi się poezję!

KONKURS LITERACKI PTWK

Polskie Towarzystwo Wydawców Książek ogłasza Konkurs Literacki w trzech kategoriach twórczości: poezji, prozy i eseistyki.

Konkurs ma na celu promocję współczesnej literatury polskiej. Udział w nim mogą wziąć autorzy książek wydanych w latach 1992–1993, którzy mają w swoim dorobku nie więcej niż trzy książki opublikowane w danej kategorii twórczości.

Zgłoszenia (wraz z egzemplarzami) autorzy, wydawcy, krytycy i czytelnicy mogą nadsyłać do końca grudnia 1993 roku pod adresem: Polskie Towarzystwo Wydawców Książek, ul. Mazowiecka 2/4, 00-048 Warszawa, z dopiskiem *Konkurs Literacki*.

Prosimy o podawanie pełnych danych bibliograficznych dotyczących książki oraz informacji o autorze (z podaniem adresu).

Rozstrzygnięcie konkursu, przyznanie nagród i spotkanie promocyjne z udziałem autorów, wydawców i publiczności nastąpi w I kwartale 1994 roku.

Bliższych informacji udziela Biuro PTWK, tel. 26-07-35 (Warszawa), w godz. 10⁰⁰-15⁰⁰.

4 sierpnia 1993 roku
w Warszawie
zmarł

KRZYSZTOF MĘTRAK

krytyk literacki, eseista,
redaktor „Literatury”

HERBERT W HISZPANII

Niedawno ukazały się w Hiszpanii, po raz pierwszy w formie książkowej, tłumaczenia wierszy Zbigniewa Herberta. Książka wyszła pod tytułem *Raport z obłożonego miasta* (*Informe desde la ciudad sitiada*, Madryt 1993, wyd. Hiperión), chociaż zawiera tylko 10 wierszy z tego zbioru; pozostałe czterdzieści to wybór z wcześniejszych tomów, są nawet trzy — z późniejszej od *Raportu* — *Elegii na odejście* z 90-go roku. Tłumacz Xaverio Ballester wyjaśnia we wstępie, że w wyborze tym kierował się przede wszystkim własnym smakiem, choć starał się też dać panoramę całej dotychczasowej twórczości Herberta. Pominął, oprócz paru wyjątków, wiersze przeznaczone wyłącznie, jego zdaniem, dla polskiego odbiorcy.

Trudno w krótkiej notatce omówić ten świetny przekład. Fakt, że język hiszpański świetnie koresponduje w rytmie z językiem polskim, rzecz niezwykle ułatwiająca pracę tłumacza, nie umniejsza wcale zasług Ballestera jako autora pierwszego przekładu poezji Herberta na język hiszpański, przekładu, trzeba przyznać, nie wymagającego żadnych poprawek ani nowych wersji. Wyraźnie widać bliski emocjonalnie stosunek tłumacza do osoby autora; skądinąd wiem, że fascynacja ta mogła zrodzić się pod wpływem osobistego spotkania Ballestera z Herbertem w Madrycie w '92 roku.

Co interesujące: Ballester poprzedził swój wybór wstępem, jakiego nie ma żadne polskie wydanie poezji Herberta. Jest to świetny, rzetelny komentarz, który byłby przydatny nie tylko dla obcojęzycznego czytelnika. Autor wstępu zwrócił uwagę przede wszystkim na biografię poety sięgającą aż do odległych rodzinnych korzeni, pradziadka, który przybył z Wysp Brytyjskich i osiedlił się najpierw w Wiedniu, potem we Lwowie; przez historię ojca legionisty, wuja zamordowanego w Katyniu, aż do szczegółowego opisu losów samego poety. Nie brak w tym wszystkim istotnych historycznych objaśnień: opisów Lwowa, niemieckiej i sowieckiej okupacji, potem czasów stalinowskich, gomułkowskich i przewrotu solidarnościowego. Stanowi to niezwykle potrzebny, w przypadku wydania obcojęzycznego wręcz nieodzowny, komentarz do poezji Herberta.

Książka wyszła w wydawnictwie Hiperión w serii tłumaczeń z poezji obcojęzycznej. Na okładce czytamy nazwiska poetów ostatnio w tej serii wydanych: Friedrich Schiller, Safo, Louis Aragon, William Shakespeare, Percy Bysshe Shelley, Oskar Wilde, Stéphane Mallarmé, Arthur Rimbaud, Rainer Maria Rilke, Sylvia Plath, Jaroslav Seifert, Marina Tsvietajewa, dalej długa lista poetów, sądząc z brzmienia nazwisk, arabskich, chińskich, japońskich, skandynawskich, greckich (Herbert jest jak dotąd jedynym polskim nazwiskiem w tym spisie), aż w końcu listę kończą antologie, wśród których przeważa japońskie haiku, tak teraz modne na całym świecie, ale są też pozycje mniej popularne jak: hiszpańska wojna domowa w poezji angielskiej albo poezja ekspresjonizmu niemieckiego.

Nazwisko Ballestera niewątpliwie warto zapamiętać. O ile mi wiadomo, przygotowuje on wybór poezji Wisławy Szymborskiej.

ap

LIST DO REDAKCJI

Czy Szolochow był w Polsce czytany?

Wiesław Paweł Szymański pisze w artykule *Uśmiech Sartre'a* („Arka” nr 44/45, s. 79): „Już w piątym numerze «Przekroju» ukazują się trzy fotografie pod wspólnym tytułem *Najpopularniejsi w Polsce pisarze sowieccy: Aleksy Tolstoj, Ilia Erenburg, Michal Szolochow*. Pod koniec maja 1945 wmuwają się Polakom zajętym zupełnie czym innym, że znają, a nawet czytają sowieckich pisarzy. To kłamstwo prawdopodobnie przeniknęło jeszcze z „Wiadomości Literackich”, coraz bardziej pod koniec lat trzydziestych zdradzających nieukrywane sympatie do ZSRR.”

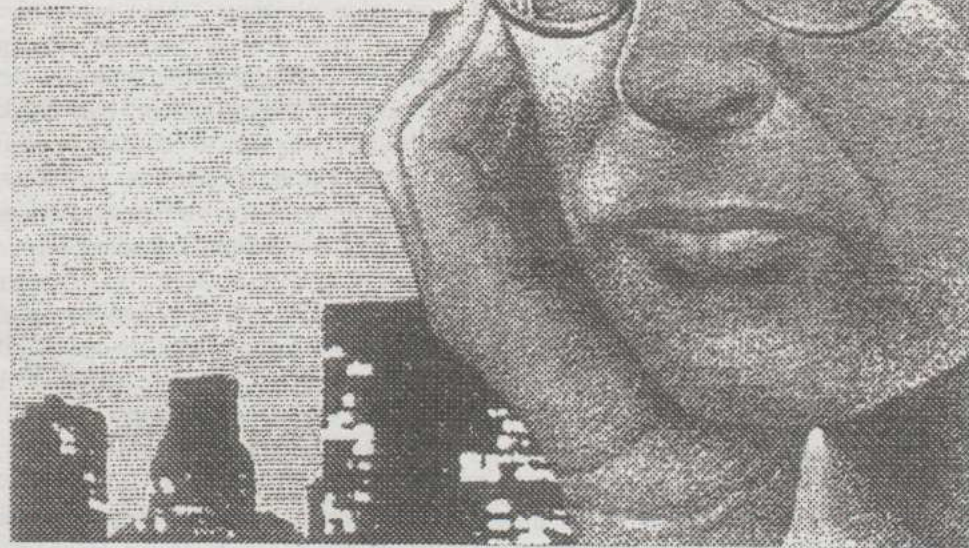
Zacznijmy od końca: po zawarciu paktu o nieagresji z ZSRR w roku 1934 nie tylko „Wiadomości Literackie”, ale i prasa prorożadła pisała z pewnym zycielwym, choć i krytycznym zainteresowaniem o ZSRR; nie trzeba lepszego przykładu niż książka Mieczysława Lepeckiego (adiutanta marszałka Piłsudskiego) *Sybir bez przekleństw*. Od roku 1936 jednak aura się zmieniła się w związku z ówczesnym kursem polityki zagranicznej, ale także pod wpływem wiadomości o procesach moskiewskich. I u schyłku lat trzydziestych w „Wiado-

Krakowska Fundacja Kultury
składa serdeczne podziękowania

Urzędowi Wojewódzkiemu w Krakowie
za wsparcie finansowe
przy promocji
„Dekady Literackiej”

List

Andrzeja
Bobkowskiego



do Kazimierza Wierzyńskiego

3.2.61.

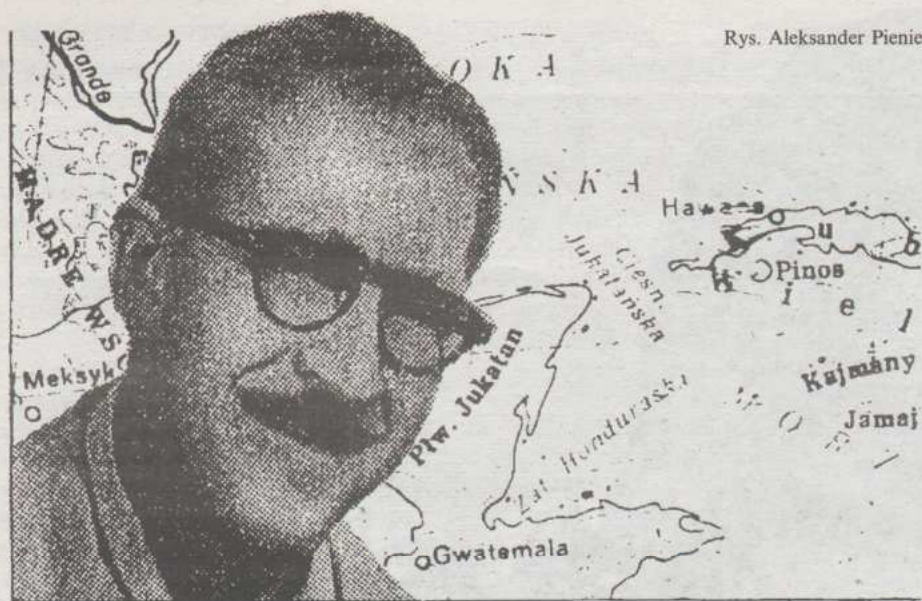
Bardzo kochany i drogi Panie Kazimierzu,

Mocno dziękuję za długi list. Nie odpisywałem od razu, bo po prostu trochę odpoczywałem po świętach i porządkowałem. Poza tym miałem piekielny atak klasycznej podagry, który ustał pod wpływem jakichś lekarstw, ale i tak zastanawiam się, czy nie zamówić w Paryżu sygnetu z herbem „Korab”, bo podagra to bardzo szlacheckie cierpienie, takie z wyższych sfer. Do tego pogoda zupełnie zwariowana. Dzisiaj przeczytałem, że w N. Jorku 27 stopni C. poniżej zera i to diabelstwo w jakichś resztówkach dolatuje aż tutaj. W każdym razie już drugi miesiąc chodzę w koszuli z długimi rękawami i w KRAWATCE, co mi się dotąd nigdy nie zdarzyło. I w normalnej, wełnianej marynarce. Do jasnej choinki z takim klimatem tropikalnym. Tylko w niedzielę zjeżdżamy z Basią w tropik do Escuintli zagrzezać się trochę i na świeże raki. Ze zdrowiem jakoś się trzymam i jeżeli dalej tak pójdzie, to mam wrażenie, że z końcem marca wyskoczę do USA załatwić kupę spraw businessowych i ew. spotkać się z Giedroyciem, który w tym czasie ma tam być. Może uda mi się go namówić na wypoczynkowy skok do Guatemali razem ze mną. No, ale jeszcze zobaczę, jak się wszystko ułoży. W każdym razie bardzo bym się cieszył, gdyby się udało, ale i smucił, bo Państwa tam nie będzie. No, co robić, skoro wolicie tę Francję. Jeżeli zima jest tam równie ostra, jak na tej półkuli, to jestem ciekawy, jak radzicie sobie z opalem i czy znowu nie marzniecie. Dodając do tego chłód poprzedniego mieszkańca, musi to być uciążliwe.

Jeżeli chodzi o moje prace, to poza normalnymi zajęciami sklepiczarza, odpisałem Grydzowi na jego ankietę o Sienkiewiczu, a poza tym tworzę dla FE do „Panoramy dnia” i „Listów egzotycznych”. „List Odysa” Tadzia Nowakowskiego rzeczywiście o połowę przegadany i nie wyciągnięty najważniejszy wniosek, a mianowicie jeżeli w Kaliszu Guatemala lub Meksyk mięta, to dlatego, że największa egzotyka błędnie w porównaniu z egzotyką ustroju, w którym tam każdy żyje. Naprawiłem więc to w moim liście egzotycznym wspominając, że np. nawet w Guatemali komunizm nazywa się potocznie „ideologia exotica”. Nie wiem, czy Pan czytał w ostatniej „Kulturze” wypociny Grobickiego o mnie. Teraz nie wiem, gdzie schować się ze wstydu. Skutek taki, że kilka dni temu dostałem list od Beckowej z Londynu, abym jej jako specjalista od kotów poradził, czy ma wymiszkować swojego czarnego kocuraznajdę, czy nie. Mam zamiar jej odpisać, że NIE, że nawet ja sikam w tył i skaczę w przód. Teraz czekam podobnych listów od innych czytelników. Pobóg-Malinowski pisał do mnie, abym napisał o jego III-im tomie Historii. Odpisałem mu, że nie mam ochoty wyrządzać mu takiej samej przysługi, jaką mnie zrobił Grobicki i że w wyborze trzeba brać pod uwagę nie tylko CO kto napisał, ale i KTO co napisał, a w jego wypadku „KTO” jest najważniejsze i ważniejsze od „CO”, bo i w Polsce, i po naszej stronie tylko czyhają, żeby mieć jakiś motyw pozbawienia go tytułu „historyka” i wtrącenia go w „publicystykę historyczną”. I jak Bob. o nim napisze, to i Kukiel, i Kot, i inni uczeni odetchną, bo będą mogli powiedzieć: „Wiadomo — swój pisze o swoim”. I wysadziwszy go z toru historyka na boczny tor publicysty historycznego czy pisarza historycznego, będą mogli spać spokojnie. A chodzi o to, aby nie mogli, aby nie byli w stanie przypiąć mu żadnej innej etykiety poza „historyk”. W sumie chyba jeden z moich najlepszych listów w życiu, ale dla takiego człowieka jak on, to mi nie szkoda i nie przestraszyłem się nawet napisać mu, co naprawdę myślę o sobie, czego

normalnie nie należy robić. Od Świderskiego z Londynu dostałem paczkę książek, które kupiłem m.in. wspaniałe „Wikliny” Staffa, ta przepiękna kropka nad życiem. Poza tym „Z dnia na dzień” Goetla, chyba z jego ostatnią dedykacją w życiu, bo datowana 19.11. I już go nie ma. Także szkice Terleckiego o różnych ludziach, m.in. o Osterwie, moim ukochanym wuju. Szkic Terleckiego o nim jest wspaniały i tak, jak Terlecki, który zaczął lkać na próbie słuchając dialogu miłosnego między Julkiem i Modzelewską w „Przepióreczce”, tak ja miałem łzy w oczach czytając jego szkic, bo nikt dotąd tak doskonale nie napisał o Osterwie. Ileż mi to znowu przypomniało. Napisałem do niego, nadmieniając zresztą, że bardzo wiele z tego, co ludzi w Julku raziło lub do niego zniechęcało, to był zgubny wpływ tego błazna Limanowskiego, tego dr. Kurkiewicza „Reduty” razem z jego kurkiewami, jak „osobnia” zamiast łoża, „spełnia” zamiast scena i inne słowne farfocle. No ale Liman przeszedł do potomności jako wielki człowiek. A ten cały Liman był dla Osterwy tym samym, czym Towiański dla Mickiewicza. Ach — czy czytał Pan w świątecznym numerze „Wiadomości” dziennik Komierowskiej. Wspaniały. Toż to wprost scenariusz do kapitalnej sztuki teatralnej, którą można by na tym skomponować. Ten gang Towiańczyków z Al Capone Towiańskim na czele, stosującym kapitalne wskazówki seksualne wobec młodej mężatki. I ten Mickiewicz, zarządzający pod własnym dachem burdel, ta Xawera śpiewająca na przyjęciu i w końcu nasz wieszcz przemawiający „z ducha” i plotący ciężkie bzdury na poziomie sierżanta z obozu dipisów. Dla mnie ten nasz wieszcz od czasu wpadnięcia w sidła gangu towiańczyków jest po prostu tragicznym błaznem i niczym więcej. Niestety, jak zwykle u nas, wpływ na pokolenia wywarł bardziej błazen, niż inteligencja wielkiego i normalnego poety z czasów przed Towiańskim. Do de z takim wieszczem apostołem. Prowadzi to wszystko do tego, że już dzisiaj szereg najmocniejszych głów wierzy w Polskę, że socjalizm Chrystusem narodów i nic taniej. W tych rzeczach my jeszcze ciągle myślimy bardziej kategoriami mickiewiczowsko-towiańskimi, niż się nam wydaje. Osobiście wolę zimne rozumowanie faceta, który widząc rano swojego kolegę rozciągniętego brzuchem ku podłodze i ćwiczącego mięśnie rąk podnoszeniem się i opadaniem na nich, powiedział mu spokojnie „Po co ty to robisz? Przecież dziewczynka już dawno spod ciebie wyszła”. Święta nam zeszyły doskonale, na wigiliu byliśmy u jednych naszych znajomych królów kawy, gdzie było tylko sześć osób i bardzo przyjemnie. Sylwestra spędziliśmy u naszych przyjaciół rodaków na wsi tańcząc i popijając mojego ulubionego szampana „Laurent-Périer Rosé”. Jestem ciekawy, kogo ciekawego spotkali państwo znowu? W wolnej chwili proszę znowu o parę słów, bo mi i nam tęskno. Strasznie zimno, jutro muszę wstać, więc już wyjątkowo kończę, nie dojechawszy nawet do końca drugiej strony. W poniedziałek wizyta jakiegoś rodaka z Kanady, Andrzeja Madeyskiego, który się tu zapowiedział. Dalszy ciąg konsekwencji wypocin Grobickiego. Zastanawiam się, czy by teraz nie założyć obok sklepu agencji turystycznej. Chcesz zwiedzić Guatemalę? Byczo — tyle i tyle dolarów. Chcesz zobaczyć mój dom i moje koty? Byczo — tyle i tyle wstęp, whisky 0.80 c. szklanka. I napis na drzwiach: „Travellers czeków nie wymienia się i pożyczek nie udziela się”. Paczek nie wysyła się, niżek w burdelach nie uzyskuje się itd. Boże — ten mnie wrobił. Teraz pół Kanady tutaj przyjedzie, tym bardziej, że kraj, o którym tutaj się mówi, że „toda Canada tiene solamente dos estaciones: los de ferrocarril el invierno”. Mocno, mocno ściskam, Pani Halinie ręce całuję, proszę naprawdę o nas nie zapominać, zawsze oddany i kochający Andrzej.

Z archiwum prof. Aliny Kowalczykowej



Rys. Aleksander Pieniek

SZKICE PIÓRKIEM – autentyk czy powieść?

Maciej Urbanowski

I. Kazimierz Maciąg przypomniał w swym ciekawym szkicu *Konwicky contra Tyrmand* („Dekada” nr 9) spór o autentyczność *Dziennika '54*. Nie jest to jedyny tego rodzaju spór w naszej literaturze współczesnej. Podobne opinie dało się także słyszeć w odniesieniu do znakomitych *Szkiców piórkem* Andrzeja Bobkowskiego.

Opublikowanym w roku 1957 *Szkicom...* obok gorących pochwał od razu towarzyszyły zarzuty o kronikarską nierzetelność i dopisywanie po latach pewnych partii dziennika, które miały stawiać autora w świetle korzystniejszym niż to mogło być naprawdę. Najwyraźniej takie pretensje zgłosił A. Ścibor-Rylski, który pisał w „Nowej Kulturze”:

„Być może, iż Bobkowski naprawdę przewidywał wszystko na zapas i to zarówno czas trwania wojny jak i przebieg kolejnych rozgrywek, a nawet przybliżoną datę śmierci Sikorskiego. Możliwe też, że już w lipcu 44 istotnie przepowiedział przyszłość obecnemu premierowi naszego kraju. Wolalbym jednak, by takie wróżby były potwierdzone notarialnie. Zwłaszcza jeśli wychodzą w druku w trzynaście lat po wszystkim”.

Podobne głosy dało się słyszeć także w prasie emigracyjnej. Recenzent londyńskiej „Myśli Polskiej” pisał: „Czyż nie jest irytujące, gdy pisane przed laty uwagi polityczne autora wszystkie, bez pudła, miały się potwierdzić, wszystkie były trafne ex post?”. Chwalący *Szkice* Gombrowicz oceniał, że nie obyły się dzienniki Bobkowskiego „bez pewnego retuszu ex post”, a P. Zdziechowski zauważał: „Bobkowski odczuwa (...) sens tak trafnie, że ma się wrażenie, że posuwa się drogą, której zakręty i rozgałęzienia zna z góry”.

Jak można się łatwo zorientować, pretensje dotyczyły przede wszystkim tych partii dziennika, które analizowały aktualną sytuację na frontach II wojny i zdumiewająco trafnie przewidywały przyszły bieg wypadków. Bobkowski, wcielając się z pewną autoironią w rolę Rzeckiego, już we wrześniu roku 1940 zastanawiał się nad wojną III Rzeszy i ZSRR, a 27.9.1940

pisał: „Tadzio ciągle pyta się mnie ile jeszcze. Mówię mu, że to niestety dopiero początek — jeszcze ze dwa, trzy lata na pewno. A kto wygra? — twierdząc, że Stalin”.

Narrator *Szkiców* od samego początku jest sceptyczny, co do efektów układu polsko-sowieckiego porównując go ze związkiem kobry z królikiem. Cztery dni przed japońskim atakiem na Pearl Harbor czuje, że na Pacyfiku „niedługo coś się zacznie” (3.12.1941). Rozważa nad możliwością użycia bomby atomowej już w roku 1942, a w kwietniu 1943 pisze: „Na miejscu Sikorskiego zacząłbym się teraz bardzo pilnować.” Podobnie proroczych i zaskakująco trafnych ocen znajdzie czytelnik wojennego dziennika Bobkowskiego znacznie więcej.

Autor *Szkiców piórkem* znał zarzuty o fałszowanie swych zapisów i zdecydowanie je odrzucał. W liście do T. Terleckiego pisał: „Co do wróżb, które robią wrażenie dopisanych ex post, to muszę Panu powiedzieć szczerą prawdę, że tych wróżb sporo wyrzuciłem. Zostało jednak za wiele na pewno. Ale nie dopisywałem. To trudno wytłumaczyć, ale gdy przepisywałem do druku, byłem zaskoczony nieraz. Wytłumaczenie jest jednak proste. Paryż był w tym czasie doskonałym punktem obserwacyjnym. Fotelowym w dużym stopniu.”¹

Bobkowski dodawał także wpływy tradycji rodzinnych oraz rolę swego wojennego przyjaciela, inżyniera Piotrowskiego, w kształtowaniu swego wiedzy polityczno-militarnej. Wreszcie nie bez racji podkreślał, iż podobne przekonania wyrażał np. Z. Nowakowski na łamach londyńskich „Wiadomości”.

Czy słowa Bobkowskiego przekonająby nieufnych? Z pewnością potwierdzały jedno — *Szkice piórkem* z roku 1944 i z roku 1957 nie były identycznymi tekstami.

Pisarz sam wskazywał, że w wersji z roku 1957 brak pewnych partii, które z racji swej przenikliwości mogłyby w jego ocenie zwiększyć szeregi tych, którzy oskarżali pisarza o „dopisywanie”. *Szkice*, o czym Bobkowski nie wspominał, były także uboższe o frag-

menty, w których pisarz opisywał swą pomoc dla polskich robotników pracujących we Francji. Bobkowski ratował Polaków przed wysyłką na roboty do Niemiec i pomagał wymigiwać się od przymusowej bądź co bądź pracy². Usuwając powyższe fragmenty autor *Szkiców* czynił to być może powodując się skromnością, ale — co może ważniejsze — także dlatego, że ich pozostawienie klóciłoby się z antybohaterską i cywilną poetyką dziennika.

Szkice piórkem podlegały także innym zabiegom. R. Zimand zdecydowanie odrzucając podejrzenia kierowane wobec Bobkowskiego zgadzał się, iż dziennik podlegał drobnym zabiegom redakcyjnym i stylistycznym przeróbkom. Jak pisał:

„Jest (...) wysoce prawdopodobne, że w rękopisie Bobkowski używał nazwy *Kozia Górka*, co oddając do druku przerobił na *Katyn* (21.4.43). Dwie następne poprawki to użycie słowa *helikopter* (26.7.43) oraz określenia *kultura masowa* (23.10.43). *Ówczesna polszczyzna nie znała ani jednego, ani drugiego.*”

Jak dalece takie „drobne zabiegi” były posunięte? Nie dysponując rękopisem *Szkiców* możemy zwrócić się ku tym fragmentom dziennika, które pojawiły się w prasie przed rokiem 1957.

W roku 1945 Bobkowski ogłosił na łamach paryskiego pisma „Razem Młodzi Przyjaciele” (nr 16–17) siedem fragmentów swego dziennika tytułując je *Douce France*. Tak zresztą, w opinii A. Chciuka, miała się pierwotnie nazywać całość dziennika pisarza.

Porównanie fragmentów z roku 1945, opisujących wakacje w L'Etretre Clement z analogicznymi ustępami z edycji z roku 1957, jest bardzo interesujące. Różnice dostrzegamy od razu. Zaczynają się one na poziomie pojedynczych zdań np. „gdzieś spadła gruszka” (1945) — „gdzieś spadła dojrziała gruszka” (1957) albo „Szafa bretońska, rzeźbiona, z żelaznymi okuciami” (1945) — „Szafa bretońska z żelaznymi okuciami” (1957). W porównaniu z rokiem 1945 opis lata w L'Etretre Clement wzbogacił się także o uwagi o charakterze refleksyjnym. W roku 1957 pojawiają się zdania typu: „Co wart jest dzień, w którym ani przez chwilę nie można pomyśleć lub móc całkiem nie myśleć.” (5.8.43) czy też „Tu wszystko jest bielsze niż u nas i nigdy nie przychodzi mi na myśl słowo «szary».” (4.8.43). Tekst opublikowany przez „Kulturę” w 1957 jest też bogatszy o partie o charakterze erudycyjnym. W roku 1945 czytamy: „w salonie książki, dużo książek”, natomiast w 1957: „wchodzę do salonu. Jest tu mnóstwo ciekawych książek «Bernadotte», Les Amantes de Venise — historia pobytu Georg Sand i Musseta.” Zdanie „Słucham opowiadania Bienchon o Contesie Memet” po latach zostało poszerzone o streszczenie owego opowiadania. Bobkowski dodał także nazwiska pisarzy, lokalizował niektóre cytaty. Zdziwił też swobodą, z jaką operował całymi partiami swego dziennika. Integralny ustęp z *Douce France* w wydaniu książkowym zostanie „rozparcelowany” i jego fragmenty znajdziemy pod datami 4, 8 i 25 sierpnia 1943 roku. Końcowe fragmenty tekstu z *Razem...*, również robiące wrażenie integralności, Bobkowski po latach umieścił jako zapisy z 7 i 25 sierpnia.

Mniejsze różnice napotykały natomiast w *Grisi mois*, kilkunastostronicowym wyjątku z dziennika Bobkowskiego, który pojawił się na łamach „Twórczości” (1947 nr 12). Zapisy te, obejmujące okres od 26.9.1940 roku do 24 grudnia 1940, nie wykazują znaczących odchylenia od edycji paryskiej. Brak pełnych imion, różnice interpunkcji — to zmiany błahe. Zwraca uwagę jedynie brak ustępu poświęconego Stalinowi (20.9.1940: „Ostatnio widzi się sporo fotografii Stalina. Czy chytrze uśmiechający się batuszka powie pewnego dnia: a teraz chodź do mnie — miejsca u mnie dużo?”), który był zapewne wynikiem ingerencji cenzorskiej.

Jak się wydaje Bobkowski godził się na takie ubożenie tekstu jego dziennika. Miał zresztą nadzieję, iż jego zapisy zostaną wydane w kraju. Pertraktacje z „Czytelnikiem” były daleko posunięte, żyjąca w bardzo ciężkich warunkach matka pisarza, pani Stanisława Bobkowska, otrzymała nawet na poczet druku książki zaliczkę.³ Z listów pisarza wiemy, że dziennik, przygotowywany do wydania w kraju miał się różnić od *Szkiców* przede wszystkim rozbiciem go na pewne rozdziały. Bobkowski chciał, by pierwsza część diariusza obejmująca lato 1940 nosiła tytuł *Dziennik*, a druga — *Fragmenty* miała obejmować rozdziały *Czerwone ożywienie*, *Szkice piórkem*, *Douce France* i *Oczekiwanie*. Jak wyjaśniał pisarz:

„Ten tytuł *Fragmenty* (...) to byłyby istotnie tylko fragmenty, fragmenty mające szansę przejścia przez cenzurę. Ponieważ w tych fragmentach pewne rzeczy byłyby pominięte (...) nazwanie tego «fragmentami» nie sugerowałoby czytelnikowi całości i mówiło, że dziennik ten nie jest kompletny. O to mi chodzi, o pewną uczciwość wobec czytelnika (wobec siebie).”⁴

Wkrótce zresztą pisarz zmienił układ swej książki wyodrębniając w niej rozdziały *Słoneczny paradoks*, *Na krótsze drogi*, *Grisi mois*, *Szkice piórkem*, *Douce France* i *Oczekiwanie*.

Innymi słowy Bobkowski nieustannie pracował nad swoim dziennikiem. Poddawał jego tekst starannym zabiegom redakcyjnym i niezwykle drobiazgowo cyzelował swoje zapisy pod względem stylistycznym dbając o jak największą ekspresję artystyczną. *Szkice piórkem* z chwilą zakończenia okupacji Paryża w roku 1944 nie były dziełem zamkniętym i ulegały na przestrzeni lat pewnym przekształceniom. Być może podstawą książki Bobkowskiego był typ dziennika, który Zimand nazywa dziennikiem *pro memoria*, a więc dziennikiem nastawionym na skrócony zapis i pisanym dla późniejszego przypomnienia sobie pewnych zdarzeń czy emocji. Nie jest to zresztą zabieg wyjątkowy w diarystyce, co jednak nie znaczy, że możemy — nie dysponując rękopisem — łatwo wyodrębnić partie dopisane. Analiza wczesnych fragmentów *Szkiców* nie wydaje się wszakże prowadzić do potwierdzenia „winy” Bobkowskiego. zmiany mogły dotyczyć literackiej strony *Szkiców* a nie sfery przemyśleń politycznych, historyzoficznych pisarza. W sposób pośredni potwierdza to zresztą porównanie poglądów pisarza wyrażanych w jego korespondencji wojennej.

DOKOŃCZENIE NA STR. 11

Josif Brodski

Grudzień we Florencji

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

V

Nabrzeże przypomina zastygły w bezruchu pociąg.
Domy stoją tak jakby ktoś je po pas odciął.
Ciało w płaszczu zanurza się w ziejącą wilgocią
paszczę bramy wejściowej, wspina się przez zniszczone,
spłaszczone zęby; drepząc kieruje kroki w stronę
gorących podniebiennych łuków z ich zmatowionym,
stałym „16”. Dzwonek straszny w swoim bezgłosie
daje w efekcie „proszę, proszę” skrzypiąc nieznośnie;
w przedpokoju czekają dwie stare cyfry „8”.

VI

W brudnej kafejce oko pod cyklistówką, w półcieniu
przywykło do amorków, nimf, stiuków na sklepieniu.
Czując niedobór tercyn, stary szczygiel w skupieniu
choć niedołącznie ciągnie swe popisowe scherzo.
Promień słońca rozbity (bo go pałace nęca)
o kopułę świątyni, gdzie spoczywa Lorenzo,
przenika przez zasłonę i grzeje chłód kamienny
żył brudnego marmuru, miś z kwiatem werbeny,
a szczygiel dźwięcznie śpiewa w centrum drucianej Rawenny.

VII

Pochłaniając powietrze i wydychając parę,
drzwi florenckie trzaskają. czy raz czy też parę
razy życie przeżyjesz (oceni według swej wiary)
już w pierwszy wieczór stwierdzisz; to jest nieprawda — powiesz —
miłość gwiazd nie porusza (księżyc tym bardziej) bowiem
to ona wszystko zawsze dzieli po połowie,
nawet pieniądze we śnie. Nawet wielogodzinne
myśli o śmierci. Gdyby gwiazdy Południa czy inne
mogła poruszyć, byłby to ruch w strony przeciwne.

VIII

Kamienne gniazdo stale rozbrzmiewa gromkim rykiem,
piskiem hamulców. Jezdnię przecina się z ryzykiem,
że będzie się za ^{SZCZ}utym na śmierć. Grudniowe brzydkie
niebo, w nim masyw jajka, które zniósł Brunelleschi,
z oka, co na blask kopuł odporne — wyciska łezki.
Policjant na skrzyżowaniu rękami znaczy kreski
podobne do litery „K” — w górę, w dół. Z ukrycia
głośnik grzmi o drożyznie, o problemach spożycia.
Jakże jest nieuchronne „y” w pisowni życia!

IX

Są takie miasta, do których nie ma powrotu, jak sądzę.
Tam się odbija od okien, tak jak od lustra, słońce,
a więc się nie przeniknie przez nie za żadne pieniądze.
Tam zawsze płynie rzeka pod sześcioma mostami.
To tam są takie miejsca, gdzie się przywiera ustami
do ust, piórem do kartek. Tam trudno coś ustalić,
falują czarne monstra, kolumn i arkad nieład.
W tramwaju tłum się wciska w każdy zakątek niemal,
mówiąc językiem tego, którego tu już nie ma.

1976

Odsyłacz do prognoz pogody

Aleja z posągami z zastygłego błota,
podobnymi do ściętych drzew.
Wiele postaci poznaję. Inne
pierwszy raz widzę. Pewnie to bóstwa
miejscowych drzew i lasów. Opiekunowie ciszy
lub kwintesencja cudzych, niewyraźnych wspomnień.
Co do figur kobiecych — nimf itp. — to one
wyglądają jak niewykończone, coś w rodzaju myśli;
każda próbuje zachować status gościa
nawet tutaj, w zaistniałej przyszłości.

Suseł nie wyskoczy, nie przebiegnie drogi.
Nie słyhać ptaka, a tym bardziej samochodu:
Przyszłość jest panaceum, lekiem na
to, co zwykło się powtarzać.
A po niebie rozrzucone, jak w kawalerskim gospodarstwie,
chmury odwrócone są na lewą stronę
i wyprasowane. Pachnie igliwiem,
tą kłującą substancją nieznanymi miejsc.
W ciemności wznoszą się rzeźby, czerniejąc
od sąsiadowania ze sobą, od obojętności
względem nich okolicznego pejzażu.

Zagadnij którąkolwiek, a wtedy
raczej odetchniesz niż zadrżysz
na dźwięk znanego głosu, słysząc
coś w rodzaju „To nie twoje dziecko”
albo „Wskazałem na niego ze strachu,
a nie z gorliwości czy zazdrości” — małe dwudziestoletnie
przedawnione tajemnice ślepych serc
ludzi opętanych bezsensownym dążeniem do władzy
nad podobnymi sobie, nie dostrzegających
tautologii. Najlepsi z nich
byli i ofiarami i katami.

Dobrze, że cudze wspomnienia
wtrącają się w twoje. Dobrze, że
niektóre z tych figur tobie
wydają się obce. Ich obecność nawiązuje
do innych wydarzeń, do innego wariantu losu —
może nie lepszego, ale niewątpliwie
tego, który przeoczyłeś. To pobudza
nie tyle wyobraźnię, co pamięć
i to na długo, jeśli nie na zawsze. Zrozumieć,
że cię oszukali, że całkiem
o tobie zapomnieli, albo — przeciwnie —
że cię dotąd nienawidzą, to wyjątkowo
przykre. Ale uważanie siebie
za centrum nawet niepozornego wszechświata
jest nieprzyzwoite i nieznośne.

Jako rzadki

a może nawet jedyny bywalec
tych miejsc, mam prawo — jak sądzę —
opisywać bez upiększeń
to, co dostrzegłem. Oto nasza mała Walhalla,
nasz od lat zaniedbany majątek
z garstką płatników pogłównego,
z użytkami rolnymi, gdzie precyzyjnemu sierpowi
chyba szczególnie trudno o rozmach
i gdzie śnieżynki wolno krążą, jako przykład
zachowania się w próżni.

1986

tłumaczyła Katarzyna Krzyżewska

Andrzej wrócił do domu wieczorem, grubo po jedenastej. Zasiadli się w Komitecie Kongresowym do późna. Próbowali redagować bruliony uchwał, które jutro, na zakończenie, miały zostać poddane pod głosowanie. Nie szło im jednak, wszyscy byli kompletnie wyczerpani; po całym dniu gadania i słuchania okazali się niezdolni do ułożenia ani jednego zdania po polsku; postanowili poczekać z tym do jutra, przespąć się, oprzytomnieć.

Andrzej wrócił do domu, do zaniepokojonej żony. Usiadł nie rozbierając się, tak jak odziany był przez dzień cały, w białej koszuli, w garniturze, w cienkich skarpetkach i półbutach. Tylko krawat rozluźnił i popijał kawę, ku wzruszeniom ramion małżonki. Kawę po nocy...

Tak go zastali, rozwalonego w fotelu, z filiżanką neski, i w skarpetkach. W zaskoczeniu i w zamieszaniu, jakie wynikło potem, nie zdawał sobie sprawy ze wszystkiego — wyszedł z nimi tak, jak przed chwilą wrócił, w owych cienkich jedwabnych skarpetkach, półbucikach, paletku, i dopiero wówczas, wśród nocy, poczuł stalowe ostrze mrozu, który po zmroku ścisnął ziemię, więc zadygotał, niczym wrzucony do przerebli. To się źle skończy, zapaleniem płuc...

Żona śmiała się, jak on wyglądał w telewizji — właśnie godzinę temu, przed zakończeniem programu, puszczono sprawozdanie ze studia z poprzedniego dnia. A tak się zarzekał, że nie wystąpi w tej instytucji nigdy...

Gdy zadzwonili do drzwi, a potem jęli łomotać, nie potrafiła oddzielić obydwu tych rzeczy, myślała, że to ciąg dalszy jakichś spraw związanych z Kongresem, spraw urzędowych. On także nie rozumiał, chciał nawet podnieść głos, pokrzyknąć, zbyt szokujące to było — tutaj publiczne przemawianie, a tu zaskakujące kulisy. Nie chcieli dyskutować, cywile i mundurowy, ma z nimi iść, jest zatrzymany — dowie się na komendzie. Dopiero mróz, szczypiący w stopy oraz w gołą głowę, przegryzł się przez owo zaskoczenie.

Andrzej Braun STEFAN

Jacek leżał już w łóżku. Czuł się zaziębiony i nie najlepiej od trzech dni prawie, to znaczy od chwili powrotu. Trzy dni temu powrócił bowiem z zagranicy, z ponad półrocznego pobytu na stypendium w Zachodnim Berlinie. Dość długa nieobecność w kraju, kiedy działo się tyle ważnego, potęgowała uczucie przebywania w pustce, w izolacji, w oderwaniu od spraw bieżących, o których nie wszystko wiedział, jak gdyby zaniedbania czegoś, w co tu musiał się włączyć, zawieszenia w kręgu własnego domu i osoby, przedłużanego owym stanem zdrowia, potęgującym poczucie absencji. Tyle kwestii winien sobie uporządkować, w tyle rzeczy wleźć od początku, poznać, przemyśleć, ustosunkować się, a dom, a łóżko i konieczność „zamknięcia rozdziału”, wpływały na zwolnienie reakcji, przedłużanie owej psychicznej pauzy w podjęciu dawnych spraw.

Jednym słowem, podwójnie był nieobecny i na podwójnym urlopie. Szczególnie więc zaskoczyło go wszystko, co się stało, i uważał to za absurdalną pomyłkę. Ktoś czegoś tu nie wiedział, wzięto go za kogoś innego, było w tym jakieś ślepe działanie.

Po północy brzdąknął dzwonek u drzwi; zdziwili się z małżonką, a któż to o tej porze? Już przez łańcuch usłyszeli zdyszany głos żony Andrzeja, sąsiada z tejże samej dzielnicy. Wielkie bloki osiedla Nad Dolinką tworzyły jakby osobne miasto — ośmiopiętrowe klatki, ciągnące się w nieskończoność korytarze. Wiera przybiegła w kilka minut, mieszkali blisko.

Wpuścili ją, rozdygotaną. „Co się stało? Uspokój się. Mów powoli”. Szeptą, z tym swoistym rosyjskim akcentem, chwilami brakowało jej słów; dawna sowiecka groza przebijała się przez jej wieloletnią już polskość.

— Zabrali Andrzeja. Teraz. Przed chwilą. Kilku. Nie wiem. Nic nie rozumiem. Nie mówili. Może przyjdą po ciebie, Jacek. Ukryj się. Pewna jestem, że wzięli różnych ludzi. O co tu chodzi? Gdzie go wzięli? Jeżeli to o „Zapis” poszło... Chciałam was ostrzec. O Boże!

Odbierał to jak zły sen. Ciągle czuł się jeszcze trochę za granicą. Ciągle był w innym wymiarze. Wiera rozsłochała się. Była naprawdę przerażona. Ta jej nerwowa gestykulacja. Żona Jacka wykazywała zwykły spokój.

— Gdzie ma iść? Przecież czuje się nie najlepiej, leży. Przedwczoraj dopiero przyjechał.

Nie trzeba było czekać długo. Wiera przeczuwała dobrze. Zjawili się po półgodzinie.

— Milicja! Służba bezpieczeństwa! Czy obywatel taki a taki...?

Próżno tłumaczył im, że dopiero przyjechał z zagranicy, siłą rzeczy więc nie mógł mieć nic wspólnego z niczym. Wszystko to niby wiedzieli, ale spadało jak groch po ścianie.

— Proszę się ubierać, pójdzie pan z nami.

Nie było apelacji! Potem dopiero, już na dworze, w komendzie, pomyślał, że w głębi duszy i to brał pod uwagę.

Stefan, jak każdy normalny człowiek, niezupełnie rozumiał, co to właściwie znaczy. Miał jeszcze w uszach suchy, patetyczny w miarę głos, uroczyste tło telewizyjnego ekranu, orły, generalskie wężyki, et cetera. Jak każdy Polak w jego wieku stan wojenny, a więc wojnę, kował sobie z jednym tylko — z okresem września i późniejszych miesięcy. „Rodacy! Dziś o świecie odwieczny wróg napadł na Polskę...” Jeszcze pamiętał tamten głos radiowy, głos, który nikt i nic nie zdołało mu wymazać z uszu. Ileż miał wtedy lat? Osiemnaście? Odwieczny wróg napadł na nasz kraj... Jaki odwieczny wróg? Z przemówienia nie wynikało. Mowa tam była raczej o jakichś sprawach porządkowych, administracyjnych niejako. Ale co to znaczyło: Rada

Państwa, dekret, Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego... W ogóle za dużo było wielkich słów. Ocalenie narodowe? A kto i co zagraża n a r o d o w i, który nagle trzeba ocalić. Nakaz internowania. Co to znaczy internowanie? Czy to jeniecki obóz, czy koncentracyjny? Są słowa, których w tym kraju nie powinno się wypowiadać lekko...

Stefan nie wyobrażał sobie, jak to ma wyglądać i co się za słowami tymi kryje. Był jednakże dorosły. Coś tutaj brzmiało groźnie i zmieniało hierarchię pojęć, coś było upokarzającego.

Z konkretów miał tylko jeden. Kiedy podniósł słuchawkę, ażeby porozumieć się z córką, odpowiedziała mu głucha cisza telefonu. To był ów pierwszy drobny, niesamowity. Grobowa cisza, jaka wionęła z aparatu, znów skojarzyła mu się z wierszem o martwych telefonach w spalonym mieście... O tym nie było w przemówieniu. Cóż dziwnego, uspakajał się. Co dziwnego, że w nadzwyczajnej sytuacji łączność została przerwana. A przecież oczekiwał warkotu samolotów, dudnienia czołgów za oknem. Jakaś łączność ludzi z ludźmi przerwana została ostatecznie. Gdzież tu rozmawiać „jak Polak z Polakiem?”

Otrząsnął się z tego szybko. Co z Kongresem w obecnym stanie rzeczy? Czas pojechać tam, zbliżała się dziesiąta. Na dworze było zwyczajnie, jedynie mróz przyszedł nocą i na ulicy szczypało w uszy. Chodniki były pokryte śniegiem, wszystko skrzypiało ścięte na kość, para buchała z ust jak niemy krzyk, i szyby zamieniały się w tafle lodu. Poza tym zwykli, rzadcy, niedzielni przechodnie, żadnego wojska, swojego, czy obcego, autobusy kursujące normalnie.

Dojechał do Placu Defilad. Kilka osób, znajomych z Kongresem, jechało z nim w tę samą stronę. Wysiedli razem, ale nie wdawał się w rozmowy, brnął szybko przez zamrożone pryzmy śniegu, przez plac, na przelaj, w stronę teatru. Przed wejściem zastał sporą grupę ludzi, sami koledzy, żony i znajomi. Dopiero tutaj zatrzymał się. Usłyszał: „Kongres przerwany”. Chciał się dowiedzieć czegoś więcej. Na drzwiach

teatru, zamkniętych na głucho, wisiał odręcznie namazany papier, że na mocy dekretu o stanie wojennym obrady Kongresu zostały odwołane. Zarządzenie prezydenta miasta. Coś tam jeszcze było dopisane ołówkiem. Dopiero wówczas dotarło do jego uszu, o czym tak dyskutują gorączkowo zgromadzeni na śniegu wokół. Zobaczył żonę Andrzeja, małżonkę profesora, inne... Miały oczy czerwone, nie od mrozu, powagę oraz lęk na twarzach.

— Klemens, Andrzej, Władek, aresztowani.

Podszedł bliżej. Nie witano się nawet. Wyliczano coraz nowe nazwiska. Padaly jak uderzenia obuchem (jeszcze wtedy nie mówiono o pałkach). Także kobiety: Halina, Irena, Anka. Było mu głupio za swe zachowanie. Leciał do tego wejścia, jak gdyby nigdy nic, jak gdyby wszystko miało trwać. Uprzytomnił sobie: w nocy zabrano z domów masę ludzi z przydziału Kongresu; jeszcze wczoraj występowali oficjalnie. A on sądził, że wszystko będzie toczyć się dalej? Powiało Marcem '68. Wciąż dochodził ktoś nowy, rozmamłany, jakby nie spał przez całą noc. Wciąż się mnożyły nazwiska zatrzymanych. To było więcej niż przypuszczał. Aresztowano całe solidarnościowe przywództwo. Ogarniał go gniew, pojmował groźbę sytuacji. Tylko dlaczego on jest dotąd na wolności, czemu go pominięto?

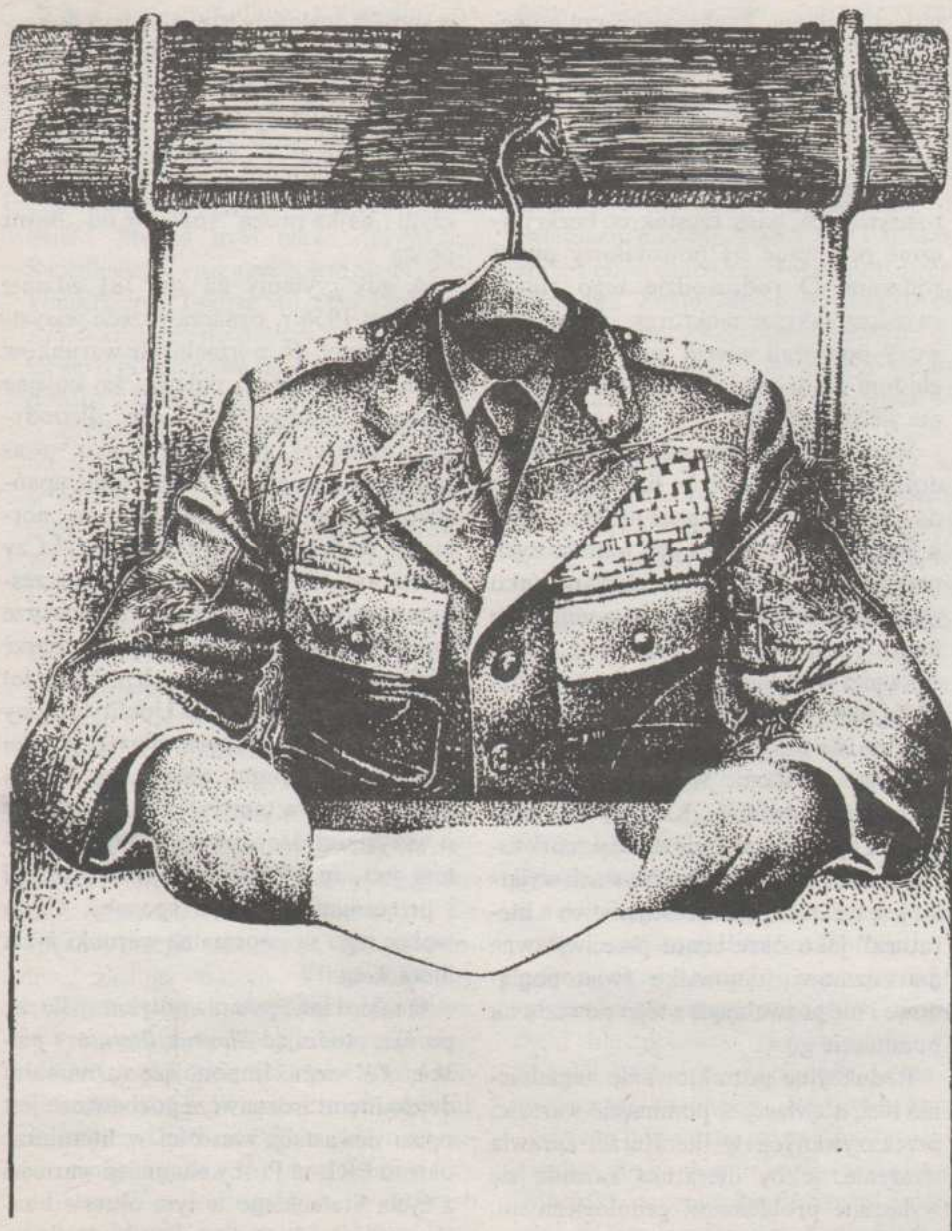
Nagle zdał sobie sprawę, że stoi tu bez sensu, ekscytując się nowinami. Związek! Przecież tam jego miejsce i za ten związek jest odpowiedzialny. Chociaż dzisiaj niedziela, wszyscy się zaczną tam schodzić; gdzie przecież muszą się dowiedzieć, co mają robić. Czuł, że jest przemarnięty na wylot; pojechał na Krakowskie.

★

W lokalu związku, mimo niedzieli, napotkał Stefan grupki kolegów, dezorientowanych, niepewnych, nie mających pojęcia, jak na to wszystko reagować. Gromadzili się samorzutnie w salce konferencyjnej i przede wszystkim wymieniali informacje. Co chwila zjawiał się ktoś nowy, składający relacje: co usłyszał, kogo zatrzymano, co widział w mieście, skąd przyjechał. Cała ta sytuacja była ciągle jeszcze nowością oraz zaskoczeniem, nurt plotek tudzież sensacji górował nad rzeczowością. Każdy z przybyłych pragnął być heroldem najbardziej niezwykłych nowin, zakasować swego poprzednika, opowiedzieć wszem wobec o swoich przeżyciach. Po kolei wchodzili na mównicę, gdzie jeszcze do niedawna odbywały się swobodne dyskusje — opowiadając, jak rano zjawili się po nich kilku panów z ulicy Rakowieckiej, bądź też zastali na drzwiach wezwanie, jak ich przesłuchiowano, co mówiono im i co zarzucano, a na końcu kazano im podpisać oświadczenie. Niektórzy podpisali, inni chwalili się, że nie, a jednak ich zwolniono.

Przez wszystkie owe chaotyczne relacje przebijała pełna dezorientacja co do stanu rzeczy, więcej — naiwność i po prostu nieodpowiedzialność. Jeszcze to traktowali jako sensację jedynie, jako przygodę, którą się można pochwalić, jeszcze myśleli w dotychczasowych kategoriach buńczucznej niezależności, jeszcze nie rozumieli, że coś się zasadniczo zmieniło. Po prostu nie pojmovali, co to stan wojenny. I że nagle skończyły się żarty. Już ktoś tam proponował, żeby uchwalić protest, wyrazić oburzenie, zanieść to do generała... Na schodach się pojawili jacyś obcy ludzie, rozpuszczając coraz to nowe wieści.

Stefan zdał sobie sprawę z groźby owego bałaganu. Wszelkie zebrania i protesty były od chwili obecnej zakazane. Lada moment mogli się znaleźć obcy prowokatorzy. Teraz chodziło przede wszystkim o związek. Za ten lokal, za ten budynek, byli odpowiedzialni.



Rys. Aleksander Pieniek

Ktoś proponował, z wypiekami wzburzenia na twarzy, aby uchwalić rezolucję, domagającą się zniesienia stanu wojennego, zwolnienia natychmiastowego wszystkich zatrzymanych, przeproszenia ich za ten gwałt, et cetera... Stefan spoglądał na nich z ponurą ironią. Dorośli ludzie.

Mówiono, że każdą nową wojnę widzi się w kategoriach poprzedniej. Coś z tego było i tutaj. Ciągłe wierzyli jeszcze w rezolucje, protesty, wagę swych nazwisk, podpisów. Czyżby nie byli w stanie pojąć, że skończyło się, że to wojna, faktyczna wojna. Ich opinie, to świstek papieru, pretekst do nowych aresztowań. Skończyły się cywilizowane stosunki. Tak można było przez kilka ostatnich lat. Ciągłe jeszcze myśleli tamtymi kategoriami — że intelektualści, że bezprawie, że gwałt. Jeśli nie zawahano się rozpuścić Kongresu Kultury, gdzie przecież byli sami najwybitniejsi, jeśli owych wybitnych zabrano za druty, bez oskarżenia, wyroków, dyskusji, znaczyło to, że się skończył dialog. W ruch poszły kolby i pały — Pan Edek rozpoczął tango.

Rozchodzili się rozgorzyczeni, aby się zbierać w kościołach. Pozostali tylko w kilkoro — członkowie prezydium. Stefan zarządził zamknięcie sali zebrań, a także kawiarni na parterze, aby uniknąć niekontrolowanych masówek. Wyznaczyli sobie całodobowe dyżury. Domu Związku nie można było zamykać — ciągle się zjawiali bezradni ludzie, szukający rady, interwencji, pomocy. Stefan spodziewał się, iż w każdej chwili mogą się pojawić ubowcy, aby zająć budynek. Póki jednak związek formalnie działał, tym bardziej było ich obowiązkiem trwać tutaj, na posterunku...

★

Przez pierwsze dni i noce Stefan żył w zawieszeniu, jak cały ich związek. Zawieszono ich legalny zarząd, dom przejął wojskowy komisarz na mocy rozporządzenia stanu wojennego. Pozostawiony na wolności spośród wielu internowanych bądź odciętych, pozawarszawskich kolegów (na podróże pociągiem trzeba było mieć zezwolenie) — on jeden oczekiwał, nie nocując w domu, na przebieg dalszych wypadków. Czynna była tylko związkowa stołówka, zamknięto nawet kawiarnię, dla uniknięcia możliwości jakichś zebrań. Tych zgromadzeń, z chwilą zawieszenia działalności związku, obawiano się niczym ognia.

Stefan sądził, iż w każdej sytuacji trzeba pełnić swe obowiązki wobec kolegów, którzy wybrali go przecież do zarządu, na dobre i na złe. Nie zwolnili go z tego mandatu. Toteż przychodził na razie do budynku, siadał w kozuchu na krześle przy szatni i służył radą odwiedzającym stołówkę, wylekzionym ludziom. Postanowił robić to tak długo, jak tylko będzie można. Był to najlepszy sposób wymiany informacji i póki co, nikt do niego nie mógł mieć pretensji. W ten sposób stawał się skrzynką kontaktową, a dla kolegów był symbolem istnienia i trwania związku.

Codziennie robił notatki z relacji dostarczanych przez różnych ludzi. Któregoś dnia szatniarka wręczyła mu list adresowany na jego nazwisko. Był to list z podziemia. Opatrzony pieczęcią Zarządu „Solidarności” Regionu Mazowsze i podpisany przez przewodniczącego, zwracał się z następującą sprawą. Śmieciarze z MPO sygnalizują, że na wysypiskach pojawiły się setki książek, opatrzonych oznakowaniem bibliotek różnych instytucji. Świadczy to, iż pod osłoną milicji odbywa się „czyszczenie” księgozbiorów z niepożądanych publikacji. Ponieważ w ich bibliotece związkowej znajdują się, jak wiadomo, dziesiątki cennych „prohibitów”, od lat przechowywanych na szczególnych prawach, podpisany zaleca im czujność w tym zakresie oraz zabezpieczenie cennych wydawnictw.

Na Stefanie ów „list z podziemia” wywarł duże wrażenie, a jednocześnie pobudził do myślenia. List podpisany był imieniem i nazwiskiem Zbyszka B., którego Stefan poznał już wiele miesięcy temu, i z którym spotykał się wiele razy. Z drugiej strony wiadano powszechnie, że przewodniczący Regionu Mazowsze uniknął zatrzymania oraz internowania przez władze, i że jest jednym z kilku działaczy związkowych daremnie poszukiwanych przez ubecję. Na temat jego osoby krążyły wprost legendy. I oto ten człowiek wysyła oficjalnie listy w imieniu „Solidarności” działającej w ukryciu, w których to listach, mimo kłopotów i trudności, znajduje czas, aby się troszczyć o bezpieczeństwo księgozbiorów, informowany o tym przez związkową organizację śmieciarzy...

Zdumiewające — myślał Stefan — i jakże podnoszące na duchu. Więc nie dla wszystkich zawałił się świat, więc wszystko działa dalej... Sprzeczne relacje i wiadomości, jakie doń docierały z różnych stron czy ust, uzyskały wiarygodność bezpośrednią na przykładzie znanego mu człowieka. Podziemie działa, gdzieś to się wszystko jednoczy. Pomimo ciosów, pomimo aresztowań.

O bibliotekę się nie lękał — ważną jej część zabezpieczyły dziewczyny, jeszcze przed przyjściem komisarza i kuratora wojskowego. Zastanawiał się nad czymś innym. Nad tym, że warto zsumować różne relacje, dotyczące oporu stawianego w kraju i prowadzonej krwawej pacyfikacji. Ktoś o tym musi wiedzieć — fakty to wielka broń. Jeśli do niego docierały szczegóły, to i inni, w podziemiu, muszą wiele wiedzieć. To, co oni wiedzą, Stefanowi nie jest wiadome; co on wie — o tym oni mogą nie słyszeć.

Postanowił nawiązać kontakt ze Zbyszkiem, aby stworzyć pewien bank informacji. Za pośrednictwem anonimowych kolegów, związanych z prasą nielegalną, przekazał swoją ideę, gdzie trzeba. Wkrótce otrzymał potwierdzenie Zbyszka i miejsce, dokąd mieli przekazywać kopie swoich raportów. Nareszcie Stefan znalazł zadanie dla siebie oraz sens swego pozostawania na wolności. Cóż może zrobić pisarz, powtarzał sam sobie, jeżeli jeszcze może cokolwiek. Zgromadzić, zapamiętać, a potem opisać to wszystko. Tam katują niewinnych ludzi, to przecież mój psi obowiązek...

★

Szczególne wrażenie, pamięta, wywarła na nim opowieść jednego ze starszych kolegów, znajomego jeszcze z okupacji. Stefan sam był ojcem. Próbował to sobie wyobrazić. Znał zresztą tego małego Władka, syna kolegi. Zastanawiali się nad tym wspólnie, a właściwie... milczeli wspólnie. Bo szczegóły usłyszał nieco później od tego samego kolegi.

— O piątej rano w niedzielę — opowiadał ten Władek rodzicom, był zaś studentem jednej z wojskowych uczelni — zbudził mnie sygnał alarmu. Najpierw zdenerwowałem się, że w niedzielę zwracają nam głowę, ale później pomyślałem, że wprowadzono stan wojenny. Od czasu Radomia i ataku na szkołę pożarniczą spodziewaliśmy się, iż lada dzień może to nastąpić. Sądziłem tylko, że to zrobią zaraz po świętach. Gramoliłem się z łóżka, i nie chciało mi się wstawać, ale sobie przypomniałem, iż wielu moich kolegów znajduje się dzisiaj poza budynkiem, gdzieś u swoich dziewczyn, i że ich trzeba szybko zawiadomić. Okazało się jednak, iż telefony nie działają. Dostaliśmy rozkaz: mamy się ubrać w mundury moro i pójść do świetlicy. Tam wysłuchaliśmy najpierw przemówienia generała Jaruzelskiego, później zaś jeden z poruczników przeprowadził szkolenie polityczne. Mówił, iż nie było innego wyjścia, że stan wojenny musiał zostać wprowadzony. Ciekawy był to moment, bośmy zobaczyli wyraźnie, kto kim jest. Patrzyłem ze zdumieniem, ale i satysfakcją, jak koledzy moi jeden po drugim opuszczają salę. Wyszło około czterdziestu procent zebranych. Cieszyła się ze stanu wojennego cała prawie kadra oficerska, a także grupa studentów... Po szkoleniu formowano z nas plutony, wydano broń i ostrą amunicję, po trzydziestu sztuk na osobę, wreszcie rozdzielono zadania. Większość wyjechała szybko na posterunki, na wzmocnienie patroli, ochronę komitetów partyjnych, i te pe. Mnie przydzielili do oddziału patrolującego ulice. Odczytano instrukcję dla patroli — mieliśmy reagować brutalnie na wszelkie objawy sympatii dla „Solidarności” albo niechęci wobec rządu. Mogliśmy strzelać, bić kolbą karabinu czy łufą, i za to nie groziły kary. Za to miał być awans...

Patrzył na znaczek związkowy z czerwonymi literkami i proporcem, który ojciec ciągle miał w kłapie marynarki. Tato dotykał go palcami.

— I mogłeś się na to godzić? — pytał ojciec.

Władek opuścił głowę, patrzył w ziemię.

— Musiałem — powiedział cicho.

Wciąż miałem przed oczyma jego mundur. Wstyd mi powiedzieć, ale coś mnie ścisnęło w gardle — mówił ów kolega Stefana. Zielony mundur, polski mundur wojskowy. Ogarnął mnie przeraźliwy smutek. Jak to wyjaśnić tym ludziom naokoło, własnemu synowi... Słyszał przecież, tyle razy mówiono, ale czy to wystarczy słyszeć? Nie przeżywając tego. Nie pamiętając... Ot, wtedy, w pierwszych dniach września, ten młody piechur z bagnietem na karabinku, eskortujący zestrzelonego niemieckiego lotnika, wśród płonących, zbombardowanych chałup. Błękitnosiwy mundur jeńca, wysokiego, smukłego draba — i ten polowy, zielonotrawiasty mundur chłopca, kraśniejącego z dumy. To był nasz mundur, na tle tamtego, obcego. Jakże jaśniał ten mundur zwycięski. Jeszcze nie był sponiewierany... A potem owe tłumy bez pasów i broni pędzone do stalagów, oflagów. Czasem widziało się zdyszanych, zakurzonych, z plamami rudej krwi, ale walczących nadal żołnierzy września. Głównie jednak trupy na pobojowiskach, te mundury wdeptane w ziemię, jak strzępy szmat z guzikami z orzelkiem. Coraz rzadziej widziało się te czapki, płaszcze, już nielegalne w morzu feldgrau. A potem, jakież wzruszenie i żal ogarniało ludzi, kiedy w szarym, okupacyjnym tłumie przeciskał się w pociągu jakiś grajek, zbierający „co łaska” inwalida o kuli, w dziwnym stroju z poodpruwanymi naszywkami, w zapomnianym już niemal suknie polskiego munduru. Ten zblakły, sprany materiał stawał się niemal relikwią, świętością, jak barwy narodowe. Resztki tego munduru wyciskały łzy... Jak wytłumaczyć to komuś, kto tego nie pamięta? Polski mundur wojskowy, przechowywany w partyzantce leśnej, jak historyczny kostium teatralny. Nawet w powstaniu mundurów tych nie mieli... I dziś, co się z tym strojem robi, strój okupanta, strój ciemności. A jego syn w tym przebraniu... Ludzie, ludzie, coście z polskiego munduru zrobili?

Fragment książki *Jak wściekle psy...*

KSIĄŻKI

Jaką całością jest słownik literatury?

Redakcja: A. Brodzka, M. Puchalska,
A. Sobolewska, M. Semczuk,
E. Szary-Matywiecka

Słownik literatury polskiej XX wieku

Ossolineum 1992.

Słownik literatury polskiej XX wieku jest dziełem wielu autorów działających w różnych środowiskach badawczych. Eklektyzm w określaniu dużego obszaru literatury okazał się więc nieunikniony, a redaktorzy książki uznają nawet ten stan rzeczy „dla słownika korzystnym”. Na omawianej publikacji, która jest „w stosunku do podręczników komplementarna”, znać też piętno okresu jej tworzenia. Ów zbiorowy przekaz wiedzy o polskiej literaturze i kulturze XX wieku, o prądach i postawach, grupach literackich i czasopismach, o rodzajach, gatunkach i technikach literackich, o topicie, motywach i tematach, wreszcie o kierunkach i dziedzinach współczesnej wiedzy o literaturze — był przygotowywany w czasach PRL-u. „Główna część artykułów słownika — czytamy — powstała przed rokiem 1988. Bibliografia została uzupełniona w niewielkim zakresie najważniejszymi pozycjami opublikowanymi po złożeniu słownika w wydawnictwie.”

Mimo tych uzupełnień „można też zauważyć w słowniku luki” — przyznają się redaktorzy tomu. W efekcie informacje w warstwie przedstawionej faktografii nie obejmują egzemplifikacji wielu utworów, na przykład A. Dziekońskiego, S. Czycza i innych. Czy pominięcie egzemplifikacji twórczości wybitnego pisarza

wywiera wpływ na ukształtowanie obrazu literatury? Jeśli przyjmujemy zasadę indukcji w myśleniu, trzeba odpowiedzieć: tak! Gdyż właśnie odrzucenie twórczości znaczącego pisarza czyni przyjętą terminologię mniej skuteczną w procesie poznawania zjawisk. Nie trzeba też specjalnie dowodzić, że zjawiska literackie warunkują się wzajemnie, choć nie zawsze twórczość pisarza mieści się w ramach jakiegoś kierunku, szkoły czy grupy literackiej.

Autorzy *Słownika* preferują utwory, które pozwalają się łączyć z innymi; specjalną wagę przywiązują do grup literackich, nawet jeśli są one tak mało znaczące jak „Czartak”. Dość powiedzieć, że obszernie referowane hasło „Czartak” odnosi się właściwie do trzech almanachów wydanych w ciągu sześciu lat, przy czym wiadomo, że program tej luźno skonfederowanej grupy „nie był nowy ani oryginalny, także na gruncie polskim”. W znacznie szerszym omówieniu hasła „Nowa Fala” z kolei pomija się niewygodne aspekty i informacje, jak na przykład to, że „Nowa Fala” zrazu wspierana była przez ówczesnych speców od polityki kulturalnej jako kontrolowana przez partię „opozycja” pokoleniowa, a nowofalowcy w okresie startu zarzucali rówieśnikom brak wyrażenia marksisto-

wskiej postawy. Zanim niektórzy nowofalowcy przeszli na opozycyjną wobec władzy stronę, ostro krytykowali rówieśników z pozycji „ideowej”, a konsekwencje tego stanowiska znajdujemy we współczesnych opracowaniach literaturoznawczych, gdzie częstokroć bezkrytycznie przyjmuje się nowofalowy punkt widzenia. O rodowodzie tego ruchu świadczy fakt, że niektórzy „nowofalowcy” pozostali wierni lewicowym poglądom po dzień dzisiejszy, co dyskretnie się przemilcza.

W *Słowniku* daje się odczuć brak haseł dotyczących wartości w literaturze. Nie da się tego błędu naprawić hasłem: „Idee w literaturze” — nawet jeśli w niektórych przypadkach idee są traktowane jako wartości czy też na odwrót — pomimo, że hasło to wspierane jest przez inne: „Historia idei w badaniach literackich”. Wreszcie: stanowisko badawcze prezentujące historię idei nie zostało skorelowane z pozostałymi hasłami. Wyjątek uczyniono w trakcie omawiania „Kuźnicy”, gdyż tu można było odwołać się do idei marksistowskich. Przykładem na prawach wyjątku jest też hasło: „Chrześcijaństwo a literatura” jako określające przeciwstawne marksizmowi stanowisko światopoglądowe i nie pozwalające z tego powodu na pominięcie go.

Redukcyjne potraktowanie zagadnienia idei, a zwłaszcza pominięcie wartości przekazywanych w literaturze, sprawia wrażenie, jakby literatura karmiła się wyłącznie problemami genologicznymi, topiką, wypowiedziami programowymi... Prezentowany obraz literatury zostaje więc w zgodzie z peerelowskim sposobem określania zjawisk literackich, który dopuszcza do głosu terminologię literaturoznawczą, lecz deprecjonuje wyższe wartości duchowe obce marksizmowi.

Dodajmy, że niektóre genologiczne problemy, deklarowane we wstępie do *Słownika*, mimo to przedstawiają się zagadkowo. Zwłaszcza rodzaje literackie. Dlaczego pominięto lirykę, epikę? Wprawdzie znajdujemy tu hasło: „poezja”, ale — godząc się na formalistyczny wyróżnik rodzajowy — zastanawiamy się, dlaczego brak hasła: „proza”? A dlaczego nie ma hasła: „wiersz”? Wszak właśnie wiersz w XX wieku poddawany był głębokim przekształceniom i eksperymentom. Dlaczego obszernie omówiony jest happening, którego związek z literaturą jest dość wąty („Niepodobna stwierdzić

w sposób dosłowny istnienia dzieł literackich o charakterze happeningowym”), a brakuje coraz bardziej popularnego w poezji polskiej gatunku haiku? Dlaczego „bajka” i „baśń” omawiane są osobno, choć z omówienia nie wynika, czym „bajka prozą” różni się od „baśni prozą”?

A gdy czytamy na str. 781 zdanie: „Cezura 1956 r. oznacza przede wszystkim powrót do normalnych warunków życia literackiego”, pojawia się kolejne pytanie. Dlaczego autor hasła: „Periodyzacja literatury polskiej XX wieku” uważa istnienie cenzury i utwierdzenie upaństwowionego życia kulturalnego za „normalne warunki życia literackiego”? Czy narzucana siłą hierarchizacja w ówczesnym sposobie informowania o literaturze (na szczycie ustawiano pisarzy „dobrze widzianych” lub neutralnych politycznie) była czymś normalnym? Upolityczniony obraz literatury pojawił się też później á rebours w drugim obiegu, bo inaczej być nie mogło w tamtych warunkach, gdy o wszystkim decydowała polityka. Faktem jest, że pisarze byli „niedoceniani i przeceniani” na dwa sposoby. Czym wobec tego są „normalne warunki życia literackiego”?

O takie i inne pytania potykamy się raz po raz, studiując *Słownik literatury polskiej XX wieku*. Imponujące rozmiarami dzieło literaturoznawcze pozbawione jest opisu dewastacji wartości w literaturze okresu PRL-u! Próby eliminacji wartości z życia literackiego w tym okresie i zastępowania ich atrapami traktuje się na równi ze zjawiskami tworzonymi spontanicznie. Np. od początku martwy twór „powieść produkcyjna” czy inne formy podlegające próbom manipulacji określa się poważnie, podobnie jak formy żywe, pomimo, że już same tytuły owych atrap literackich wywołują dziś tylko śmiech. Wszystko to sprawia, że siatka terminologiczna jest w *Słowniku* nie tylko nieszczelna, ale miejscami jest po prostu iluzoryczna. Właśnie dlatego nie zdołano w niej pomieścić wielu interesujących zjawisk, jak choćby gnostyckiego nurtu w poezji, prozie, krytyce literackiej. Eklektyzm i peerelowski rodowód *Słownika* wskazują co prawda na okoliczności usprawiedliwiające autorów i redaktorów. Wszelako zmuszony byłem upomnieć się o pełniejsze urzeczywistnienie wartości poznawczych w tej ważnej publikacji.

Bogusław Żurkowski

KSIĄŻKI NADEŚLANE

**WOJCIECH MŁYNARSKI: W CO SIĘ
BAWIĆ**, Wydawnictwo Literackie, Kra-
ków 1993.

Wznowiony po dziesięciu latach wybór najbardziej znanych piosenek i ballad Młynarskiego — ukazujący się w kolekcji 40-lecia WL i w trzydziestą rocznicę debiutu estradowego jednego z najpopularniejszych przedstawicieli polskiej piosenki kabaretowej — ilustrowany przez Jerzego Dudę-Gracza.

**ANDREW MARVELL: 24 WIERSZE.
POEMS**, Wydawnictwo Literackie, Kra-
ków 1993.

Obszerna prezentacja dorobku jednego z przedstawicieli tzw. poezji metafizycz-

nej XVII wieku w Anglii. Wybór, przekład, wstęp i opracowanie — Stanisław Barańczak. Seria dwujęzyczna.

**EWA LIPSKA: WAKACJE MIZANT-
ROPA**, Wydawnictwo Literackie, Kra-
ków 1993.

Utwory „prawie zebrane” najciekawszej poetki średniej generacji. Jest to najobszerniejszy dotąd wybór wierszy poetki: obejmuje utwory z ośmiu dotychczas opublikowanych tomów, prozę poetycką pt. *Żywa śmierć* (wreszcie bez ingerencji cenzury!) oraz nowe, nie publikowane w książkach wiersze.

**ANTOLOGIA HAIKU KANADYJS-
KIEGO**, przeł. Ewa Tomaszewska, Wyda-
wnictwo Miniatura, Kraków 1993.

Udana prezentacja 11 przedstawicieli kanadyjskiego haiku poprzedzona kompetentnym wstępem tłumaczki.

Historia angielskojęzycznego haiku

w Kanadzie jest bardzo krótka. Pierwszym znanym zbiorem haiku są utwory Claire Pratt opublikowane własnym nakładem w 1965 roku. Niedługo potem, dzięki fundacji Erica Amanna, powstało czasopismo „Haiku” wydawane w Toronto w latach 1967–70.

**HALINA POŚWIATOWSKA: WIER-
SZE NIEZNANE**, Instytut Wydawniczy
„Świadectwo”, Bydgoszcz 1993.

Utwory zamieszczone w tej książce pochodzą z przygotowanego przez poetkę do druku tomiku pt. *O uśmiechniętym tygrysie*, którego nigdy nie opublikowała w zamierzonym kształcie. Wydawca nie wspomina kto odszukał te utwory, gdzie były drukowane w prasie itp. — byłyby to z pewnością cenne informacje dla entuzjastów tej poezji.

**JULIUSZ KYDRYŃSKI: PRZYPISY
DO SZEKSPIRA**, Wydawnictwo
KWIATY NA TOR, Warszawa 1993.

Zamieszczone w książce teksty powstały początkowo jako posłowania do Shakespeare’owskich przekładów Macieja Słomczyńskiego w pełnej edycji tychże wydawanych nakładem Wydawnictwa Literackiego.

**ZENON ŁUKASZEWICZ: MÓJ AL-
FABET ALBO PSTRYCZKI I POTY-
CZKI**, Oficyna Wydawnicza „ZIE-
MIA”, Warszawa — Zielona Góra 1993.

„Teksty zebrane w książce były w swej większości publikowane w «Gazecie Nowej» (...) są w niej konterfekty moich współczesnych, są fragmenty korespondencji, jaką otrzymałem po druku gazetowym, są wreszcie niektóre moje literackie felietony i recenzje oraz fragmenty prozy, w których znalazłem się jako epizodyczny bohater.” Autor, prozaik i dziennikarz, wywodzi się z rodu „z którego pochodzą: popularna pisarka Maria Rodziewiczówna oraz oprawca bolszewicki Feliks Dzierżyński”.

Wyjątkowo długo czekaliśmy na debiutancki tomik Marcina Świetlickiego; ściśle — od czasu, kiedy otrzymał nagrodę im. Geорга Trakla oraz Grand Prix Konkursu na Brulion Poetycki. Swoją poezję drukował na łamach „brulionu”, „Nagłosu”, „Dekady Literackiej”. Można było także... posłuchać Świetlickiego wraz z zespołem Świetliki na koncertach w Teatrze Stu. Dziś, kiedy tom *Zimne kraje* jest już dostępny, warto pokusić się o podsumowanie dotychczasowego dorobku krakowskiego poety.

Zarzucono jego poezji, iż odcinając się od kulturowych uniwersaliów, popada w ton skrajnie prywatny, ekstremalnie osobisty. Krzysztof Koehler nazwał swego koleżę z „brulionu” — „oharystą” i wytknął mu grafomanię.

Jak niesprawiedliwe są te zarzuty, przekonuje lektura *Zimnych krajów*. Zauważyć bowiem wypada, iż wiersze eksponujące tak wyraźnie sferę doznań i przeżyć osobistych podmiotu, zyskują niezwykle siłę artystycznego wyrazu. Świetlicki uświęca słowem codzienność, przypadkowość, banał. Z okrucich swej własnej, jedynej i niepowtarzalnej egzystencji buduje poetyckie frazy, obok których nie sposób przejść obojętnie. To niewątpliwie zasługa talentu, wrażliwości czy — jak kto woli — daru wycucia słowa.

Program liryki skrajnie indywidualnej jest w tomiku Świetlickiego realizowany konsekwentnie. W takich utworach jak *Polska czy Dla Jana Polkowskiego* wyraźnie przeciwstawia się poezji idei, poezji uniwersaliów kulturowych, w których twórca nieraz całkowicie zatracza swój pojedynczy głos. Świetlicki postępuje inaczej: ów indywidualny głos wzmacnia tak, by nikt nie miał wątpliwości, iż przemawia tylko w imieniu siebie.

Poezja jego jest nieufna. Podejrzliwie obserwuje łatwe wybory, kpi z prostych

prawd i wszelkiego zaangażowania w „wielkie sprawy”. Sceptycyzm ten świadczy o dojrzałości autora. Odrzucając bowiem zbiorowe rytuały, jednocześnie opiera się on pokusie młodzieńczego, niejako także rytualnego, buntu. Nie znajdziemy w tej poezji ani pretensji do świata, ani misyjnych prób jego naprawy, ani też chęci destrukcji dotychczasowego porządku. Znajdziemy natomiast stoicki spokój wobec zewnętrznego chaosu i pasję obrony własnego, prywatnego świata. A zagraża mu wiele niebezpiecznych sił: moralisci, nawiedzeni ideolodzy, fanatycy, niewolnicy idei, fałszywi prorocy, totalitaryści etc. Wszyscy ci, którzy naruszają prawa jednostki, spokój jej egzystencji. Wszyscy, którzy wiedzą lepiej, chcą przewodzić i uszczęśliwiać nas wbrew nam. W wierszach *Zły ptak*, *Melodramat* czy *Niedziela, przed południem* łatwo dostrzec atmosferę osaczenia podmiotu, podskórnego niepokoju, mającego swe źródło w zmęczeniu życiem zbiorowym.

Walka o prawo do inności — to fundament poezji Świetlickiego. Nawet w reminiscencji z wojaka, w znakomitym utworze *Szmaty* pisze on: *Jestem żołnierzem Innej Armii innym się chlebem karmię*”.

Owa „Inna Armia” to zapewne rodzina poetów, choć pamiętać należy, iż Świetlicki ma poczucie twórcy osobnego. Z kolei wiersz *Le gusta esta jardin...?* zawiera tak znamienne dla autora frazę: „Niczego o mnie nie ma w Konstytucji”. Trudno chyba dosadniej wyrazić skargę jednostki otoczonej bezdusznymi formułami. W tym lapidarnym zdaniu kryje się również coś więcej: sugestia, że także i o Tobie, o Niej, o Nim nie ma niczego w Konstytucji. A przecież wszystkim jakoby chodzi o dobro jednostki...

Zagrożony w swej tożsamości podmiot szuka azylu. Dokąd uciec przed wirami

KSIĄŻKI

Marcina Świetlickiego pojedynczość

Marcin Świetlicki
Zimne kraje

Biblioteka, Kraków-Warszawa 1992.

chaotycznych wydarzeń? Trwać obojętnie? Chłodno obserwować? A może zanurzyć się w ramiona ukochanej kobiety? Miłość to z pewnością jedno z rozwiązań. Jej różne odcienie pobrzmiewają w wielu utworach Świetlickiego. Najciekawiej w wierszu *Pobojowisko*, gdzie romantyczny liryzm przeplata się z namacalnym, fizycznym erotyzmem, a nawet szczyptą hedonizmu. Ta specyficzna mieszanina żywiołów nieodparcie kojarzy się z filmem Jean-Luc Godarda *Do utraty tchu...*

Przytoczone wyżej fragmenty utworów Świetlickiego ujawniają pewną istotną cechę jego języka. Jest nią skłonność do aforyzmu, lapidarności, sentencji. Z pewnością nic to nowego w liryce XX w., jednak w poezji krakowskiego twórcy owa aforystyka jest bardzo świeża, precyzyjna. W utworze *Ludzie* znajdziemy np. takie piękne wersy: *Niekochany nie zdradza.*

Niekochany chodzi / dzwoniąc w kieszeni / niepotrzebnym kluczem.

Część wierszy ma z kolei wyraźne piętno rockowych songów. Poszarpane, pulsujące energią frazy, o charakterystycznym zrytmizowaniu, nadają się akurat do wyśpiewania czy zgoła wyskandowania (np. *Majakowski* czy *Wszystko cieknie*). Świetlicki skwapliwie korzystał z tych możliwości na wspomnianych koncertach, gdzie przy akompaniamencie zespołu rockowego zaprezentował melorecytacje swych poezji. Rozważając powyższy kontekst, można włączyć tę lirykę do współczesnej pop-kultury, która — co istotne — od pewnego czasu nie jest już tak wyraźnie przeciwstawiana kulturze elitarnej, wysokiej (to niewątpliwie wpływ amerykańskiego pojmowania tego problemu).

Marcin Ciupek

Kobieta w Nowym Jorku

Izabela Filipiak

Śmierć i spirala

Wydawnictwo A, Wrocław 1992.

Polskie doświadczenia emigracyjne ostatnich lat coraz częściej stają się tematem młodej literatury. Po utworach Manueli Gretkowskiej (*My zdies emigranty*) i Bronisława Wildsteina (*Brat*), problematykę emigracyjną podjęła Izabela Filipiak, pisarka mieszkająca od 6 lat w Nowym Jorku. Doświadczenie tego miasta, artystycznego centrum Ameryki, jest podstawowym tworzywem opowiadań ze zbioru *Śmierć i spirala*.

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, iż Nowy Jork jako temat literacki jest już mocno spetryfikowany i trudno tu o jakąkolwiek oryginalność; wszak pisali o nim i O'Hara, i Kosiński, i Singer, i cała plejada innych pisarzy amerykańskich. A jednak jest kilka elementów w prozie Filipiak, które decydują o jej wyjątkowej odrębności.

Po pierwsze, każda z bohaterek tych opowiadań wnosi w krajobraz Nowego Jorku swe odmienne, polskie doświadczenia (gwoździ ścisłości — są też opowiadania bez Polaków). Po drugie, każda eksponuje na plan pierwszy swą k o b i e -

c o ś ć, specyfikę płci z całym jej skomplikowaniem psychofizjologicznym. Po trzecie wreszcie, egzystencja opisywanych kobiet jest silnie naznaczona poczuciem osamotnienia w wielkim, niepokojąco brzydkim mieście, co — w konsekwencji — prowadzi do ujęć klaustrofobicznych (miasto jest ciasną przestrzenią) i do zburzenia mitu Nowego Jorku jako azylu dla wszelkiej maści odmieńców.

Polskie problemy przewijają się w tych opowiadaniach nieustannie, przy czym funkcjonują one na dwóch planach. Pierwszy dotyczy codziennych problemów egzystencji niezamożnego przybysza z zewnątrz. Trudności ze znalezieniem pracy, mieszkania, tułanie się po parkach i ulicach, emigranckie sny (*Piramida*) — to elementy charakterystyczne dla większości tekstów. Co istotne, autorka próbuje zuniwersalizować poruszany problem poprzez wprowadzenie imigrantów innych narodowości (Francuzka, Gwatemalczyca). Na innym nieco planie pojawia się polskość niejako w stanie czystym — cho-

dzi tu o liczne retrospekcje, reminiscencje z przeszłości, z dawnego życia w kraju.

Modelowym wręcz opowiadaniem jest tu *SKA* — znakomite studium młodej kobiety, której egzystencję wyznaczają nieustanny bunt, niemożność przystosowania się do rzeczywistości, ciągłe poszukiwanie nowych wrażeń.

Punktem wyjścia jest jej zaangażowanie w studencki ruch opozycyjny w Polsce początku lat osiemdziesiątych. Ów akces do zbiorowości zbuntowanych rówieśników okazuje się krótkotrwały. Wywoławszy skandal (seks w czasie strajku!), bohaterka zostaje napiętnowana przez strażników etosu i moralności i musi odejść na margines. Od tej pory jej życie wypełniają gwałtowne próby samospelnienia — prostytutka, alkohol, podróże. Nowy Jork mający być dla niej przystanią, miejscem, do którego zmierzają wszyscy wyobcowani, rozczarowuje. Miasto odmieńców jest bowiem także miastem konserwatywnej Polonii, nie pozwalającej zapomnieć o przeszłości. Jedyne wysiłki, na jakie zdobywa się bohaterka w obronie swej niezawisłości, to jej tragikomiczna prowokacja względem ciasno myślących polonusów — belkotliwa przemowa, kulminująca się w hasło: „Zostaliśmy Frankensteinem narodów”.

Wspomniane wyobcowanie bohaterki ma też swe źródła w bardziej uniwersalnych zagadnieniach. Są to doświadczenia płci. Samotne kobiety, nie potrafiące dostosować swej psychiki do roli matki czy żony, nie godzące się z dominacją mężczyzny — agresora seksualnego, to niewątpliwie ślady feminizmu. Najbardziej charakterystyczne dla tej tematyki są opowiadania *Maska* i *Przytul mnie*,

w których postaci kobiece uciekają od tradycyjnie pojętej seksualności, angażując się do quasi-domów publicznych, nie mających nic wspólnego ze zwykłymi miejscami cielesnych uciech. W jednym usługi polegają na zaspokajaniu masochistów, w drugim — na przeprowadzaniu seansów psychoterapeutycznych. Ta nietypowość seksualna ma tu uzasadnienie w bolesnych doświadczeniach bohaterek: większość z nich została niegdyś zgwałcona.

Nowy Jork w opowiadaniach Filipiak jest miastem chorym: pełnym bezdomnych, odrzuconych ludzi. Szare ulice, brudne domy, przemoc — to wizja daleka od mitu. W opowiadaniu *Ptaki* ów mit poddany zostaje wyraźnej rewizji. Bohaterka, wstrząśnięta śmiercią Jerzego Kosińskiego, zauważa, iż był to człowiek inny wśród odmieńców, nie do końca zaakceptowany przez nowojorską bohemę, rzekomą patronkę nieprzystosowanych. „Jestem tu sama, jak zwykle” — mówi bohaterka i Nowy Jork traci swój urok miasta-azylu.

Wspomniany Kosiński jest niewątpliwym patronem prozy I. Filipiak. Jednakże literackich kontekstów można znaleźć znacznie więcej: proza Manueli Gretkowskiej, *Antygona w Nowym Jorku* Janusza Głowackiego, opowiadania Joyce Carol Oates, a nawet twórczość Franza Kafki, którego duch unosi się nad surrealistyczno-symboliczną poetyką niektórych opowiadań (np. przemiana Anny w robaka w utworze *Nic się nie stało*). To jednak, co stanowi o wartości *Śmierci i spirali*, to umiejętność scalenia elementów obcych w całość oryginalną i naznaczoną piętnem indywidualnego spojrzenia.

Marcin Ciupek

Nauczyciel

w szkole dnia dzisiejszego

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

społeczeństwa. Szkołę więc, zwłaszcza szkołę średnią, także prywatną, przekształcano w latach trzydziestych w instrument wychowania państwowego. Kto pamięta gimnazja i licea tamtego czasu, łatwo przypomnieć sobie może, ile czasu i miejsca poświęcano przeróżnym akademiom, uroczystym zebraniom, zbiórkom organizacji uczniowskich, gdzie oddawano się kultowi dostojników państwa. Przenikało to nieuchronnie do programów nauczania. Z pewnością istniały mocne racje, które kazały szkołę tak właśnie modelować, po obu stronach granicy dojrzały przecież roszczenia imperialne. Zajmujemy się wszakże w tej chwili umysłową rolą nauczyciela, a ta rola najwyraźniej na podobnej sytuacji nie zyskiwała. Coraz wyraźniej daje się także dostrzec odpowiednia polityka personalna. Kierownictwo szkół, dyrekcję gimnazjów, władze państwowe zaczęły powierzać ludziom o odpowiednio deklarowanych przekonaniach.

Nauczyciel był stosunkowo dobrze opłacany, zwłaszcza nauczyciel szkoły średniej, ale pozycję swoją budować zaczynał w coraz większym stopniu na swojej lojalności wobec państwa.

To znaczy stawał się — może nawet nie zawsze zdając sobie sprawę — instrumentem propagandy i strażnikiem panującego porządku. Za krótko to prawdopodobnie trwało, aby ukształtować się mógł jakiś starannie przemyślany model nauczycielskiej umysłowości. Jedno jest wszakże pewne: szkoła jako instytucja zbiorowego wychowania, jako miejsce zdobywania duchowej dojrzałości, wiedzy, poczucia powagi życia, traciła nieuchronnie swoją autonomię. Nauczyciel był coraz dokładniej sterowany obowiązującymi go programami, coraz więcej przysyłano szkołom wytycznych i okólników, coraz uważniej także kontrolowano jej lojalność.

Powiedzieć można: no cóż, żyliśmy wszyscy w przededniu wojny. Zagrożone państwo ma prawo wzywać do „zwierania szeregów”. Warto jednak uświadomić sobie, że jeśli podobny wzór szkoły był w jakimś sensie koniecznością, to nie wolno szukać w nim ideału. Ponieważ sensownie pomyślana szkoła nie powinna być instrumentem państwa i nie ona służyć ma państwu, tylko państwo ma służyć jej. Ponieważ jej zadania są głębsze i rozleglejsze, ponieważ jej prace silniej ważą na duchowym obliczu zbiorowości, ponieważ od niej przede wszystkim zależy, czym zbiorowość będzie w przyszłości. Co zupełnie inaczej (niż w latach trzydziestych) określa rolę nauczyciela.

Nauczyciel, jakiego znamy z najbliższej nam szkoły, ten nauczyciel, który niedawno strajkował i pokazywał się w telewizji i któremu laską groził żalony minister — ten nauczyciel jako model jest dziedzictwem wielu dziesiątków lat „złej historii”.

Ten nauczyciel postrzegany jest jako źle opłacany urzędnik państwowy i do prawdy rzadko czuje się kimś innym.

Władze odrodzonego w 1989 państwa przejęły jakoś bardzo skwapliwie model szkoły jako instytucji pozostającej na utrzymaniu, pod opieką i pod kontrolą państwa. W mentalności zbio-

rowej, a więc i w mentalności urzędników władz państwowych tkwi głęboko owo wyobrażenie „centralnego kierowania”, które natychmiast owocować zaczęło całymi seriami nowych przepisów, w tym także zapowiedziami i projektami nowych programów. W tym sensie nic, albo prawie nic się nie zmieniło, cała odpowiedzialność za pracę nad nowym modelem szkoły ulokowana została w odpowiednich urzędach państwowych. Urzędnicza wyobraźnia (a bez wątpienia także urzędniczy interes) nie były i nie są zdolne do uznania szkoły za coś innego niż za tworzywo do ugniatania. Przez krótki czas coś tam bąkano o zwiększeniu odpowiedzialności rad pedagogicznych, jakieś konkursy organizowano na dyrektorów (i inne miejsca w hierarchii). Potem zaczęło się ujawniać, że nauczyciel poddawany tresurze państwa przez dziesiątki lat jest do jakiejś innej roli po prostu nieprzygotowany. Że pojęcie autonomii szkoły kojarzy mu się z jakimś anarchizmem, z przyzwoleniem na sobiepaństwo („każdy może być dyrektorem, ja też mogę nim być”), krótko mówiąc, z walką o stołki.

A czy inaczej było w naszym, pozał się Boże, parlamencie? — ktoś zapyta. Oczywiście nie inaczej. Parlament wszakże łatwo zmienić, jeśli nie na lepszy, to w każdym razie na inny. Zmienić zaś szkołę, czyli zmienić te pół miliona nauczycieli, obudzić w nich poczucie do prawdy wyjątkowej odpowiedzialności — i to nie wobec ministra, który wyznacza programy, płace i pensa — ale wobec jakichś wyższych, urzędowo nieuchwytnych instancji — o, to jest zupełnie inne zagadnienie.

Zrozpaczony nędzą szkoły (i swoją własną) nauczyciel chwycił się strajków. Czy zdawał sobie sprawę, że zachowaniem podobnym utwierdził tylko strukturę swojej zależności od aparatu władzy? Że zaaprobował w ten sposób swoje miejsce na liście urzędniczych płac? Teraz się wprawdzie mówi, że szkoły, także średnie, mają przejść pod zwierzchnictwo samorządów. To jest chyba „krok we właściwym kierunku”. Nie ludźmy się jednak. Samorządy modelowane będą na kształt struktur państwowych i szkoła z całą pewnością zostanie w nie wepchnięta. O tym, co określa się tu jako autonomię, nie będzie mowy. Aż do czasu, kiedy sam bieg rzeczy do tego zmusi.

Coś ty się tej autonomii tak uczepił? — ktoś zapyta. Chcesz izolować szkołę od życia zbiorowego? W sferze ideałów ją zawiesić, czyli w pustce frazesów? Kontroli społeczeństwa ją pozbawić? Na dwactwa różnych marzycieli i proroków ją skazać? W końcu w śmieszność wpędzić.

Że szkoła, jaka ukształtowała się w ciągu dwu ostatnich stuleci wchodzi w stan kryzysu, zdajemy sobie stopniowo sprawę. I że panujący model nauczyciela jako instytucji służącej przede wszystkim przekazywaniu wiedzy — przestaje spełniać swoją rolę i przestaje być potrzebny: ten nauczyciel, który uzyskawszy dyplom fachowca określonej dziedziny wiedzy, przekazać ma jej część w myśl wytycznych urzędowego programu. Bo najpierw tej wiedzy za dużo przyrosło i musi się wśród niej wybierać, a nikt nie wie, co jest

ważne. Uczyć o średniowieczu na przykład, czy nie uczyć? A o mądrościach Indii? Albo Chin? A o nowych teoriach materii? Materiału jest tyle, że żadna szkoła nie jest zdolna go dźwignąć. Zaczynają działać kryteria bliskości lokalnej, które nieuchronnie wpędzają szkołę w prowincjonalność. I różne doniosłe osiągnięcia umysłu ludzkiego oddalają się od szkoły, jako „nie nasze”, jakby egzotyczne, o których „nie musi się wiedzieć”. Nie ma zresztą takiego, kto by to opanował. Więc szkoła sporządza sobie programy, czyli spisy tematów obowiązkowych. **I świat z jego mnogością wymiarów i doświadczeń zaczyna nieuchronnie oddalać się, przestajemy go rozumieć. Przystajemy próbować go rozumieć. W tym samym momencie szkoła przestaje pełnić swoje podstawowe zadanie.**

Ale nie tylko dlatego kompromituje się współczesny nauczyciel. Niezdolny, aby być chodzącą encyklopedią, traci równocześnie pewność, na czym właściwie polega jego rola wychowawcy? Przyuczać młodych ludzi, że trzeba zawsze „lecieć, pędzić” — to przecież komiczne. Czy pańszczyzna chłopska była dlatego zła, bo czyniła z ludzi niewolników, czy też dlatego, że była ekonomicznie niewydajna? Jeśli praca przy taśmie produkcyjnej ogłupia ludzi, czy wynika z tego, że nie należy jej wprowadzać? Czy szkoła ma się w ogóle zajmować podobnymi kwestiami? W ramach jakiego przedmiotu? Gdzie jest właściwie miejsce na pytania o sensy, o znaczenia i ich porządek, o wartości? Gdzie ma się uczeń dowiedzieć, kim jest jako człowiek i na czym polega to „bycie człowiekiem”?

Drugim podstawowym zadaniem szkoły (jeśli zakładamy naszą wolę, aby świat nadal istniał) jest wpojenie wychowankom poczucia powagi życia. Że jesteśmy odpowiedzialni za to, co się dzieje wokół nas i w ogóle, co się dzieje z naszym światem. Kto tego uczy we współczesnej szkole? Otóż nikt nie uczy. Zakłada się milcząco, że albo to „za trudne”, albo oczywiste i „wszyscy to wiedzą”. Pokaźnikowany na przedmioty (które udają „dyscypliny naukowe”), program szkolny pomija beztrzęsco najważniejsze cele wychowawcze. Nie ma nauczyciela, który byłby do tego przygotowany. A jeśli ktoś podobne zadania podejmuje, to „poza programem” i na własną rękę. O wiele łatwiej powtórzyć kilka frazesów o wyższości demokracji (kiedy uczeń widzi równocześnie, czym ta wyższość staje się w praktyce) i wpisać do dziennika temat, który pochwali wizytator.

Krótko mówiąc, ani wiedzy osiągniętej szkoła nie jest w stanie przekazać, ani do wychowywania młodych ludzi nie jest zdolna.

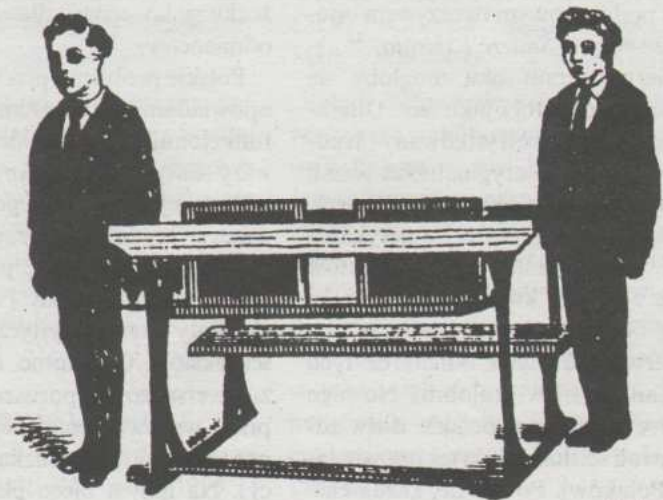
Jedyne, co naprawdę umie, to przygotowywać do określonych profesji. I dziwić się potem, że „nie umiemy się rządzić”, że „nie dojrzelismy do wolności”. Mówią, że to następstwo dającego się zmierzyć „opóźnienia cywilizacyjnego”. Jeśli tak, to szkoła staje się istotnym elementem owego opóźnienia. Ona uczy — w najlepszym razie — jak przystosować się do porządku rzeczy, jaki zastaliśmy, jak się w nim umieścić — w imię obopólnej korzyści. Inaczej mówiąc, uczy ona czegoś, na czym psy wieszają wszyscy moralisci świata.

Autonomia szkoły, o której tu mowa i która przyswieca jako odległy i nigdy może, albo bardzo rzadko, osiągalny ideał, polega na wypracowaniu radykalnie innego wzoru nauczyciela. Doprawdy przekracza to możliwości krótkiego artykułu. Jak ma być ten nauczyciel wyposażony? W jakie talenty osobiste? W jaką wiedzę? Bardzo wielu tych nauczycieli potrzeba, a tak mało zdolnych ludzi garnie się do zawodu. Tzw. negatywna selekcja, trwająca od dziesiątków lat, wcale nie została przerwana, ani nawet ograniczona, ona rządzi nadal zawodem nauczycielskim, uniwersytety rok za rokiem coraz słabszych mają kandydatów na studia.

Były czasy, kiedy nauczycielstwo stało się trzonem inteligencji, „solą tej ziemi” — jak napisał raz Żeromski, głównym nosicielem świadomości społecznej i niepodległościowej, kiedy odnajdywano w nim ofiarną i poczucie powołania. I kiedy ludzie potrafili być dumni, że „uczą cudze dzieci”. Na tej warstwie można było budować więź zbiorową i taką ją widziano po roku 1918. Od kogoż to można było oczekiwać bezinteresownego społecznikowania, kogoż to wskazywano jako przykład? To, że doszło do strajków nauczycielskich, jest największym może błędem elity politycznej — na daleką metę. Oni jedni, nauczyciele, zachowywali jakieś resztki duchowego kapitału — wbrew wszystkim katastrofom. Poza nimi cóż jest? Niewielkie grupki wokół uniwersytetów i wyższych uczelni. I całe obszary pragmatyzmu, czyli ludzi kierujących się zasadą „coś za coś”, a cóż dać może tym ludziom ubogie i zadłużone państwo?

Rząd, który zrozumie wymiar problemów, jakie stoją przed szkołą współczesną, który pojmie rolę, jaką spełnia nauczyciel i który przestanie widzieć w nim urzędnika państwowego, będzie może pierwszym rządem patrzącym dalej — niż najbliższy rok budżetowy. Bo przecież nie chodzi tu o żaden gest polityczny „waloryzujący się finansowo”. Chodzi o rozpoznanie, kim się stajemy jako zbiorowość wolnych ludzi.

Włodzimierz Maciąg



Ryciny archiwalne

SZKICE PIÓRKIEM

— autentyk czy powieść?

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

II. Dlaczego jednak mamy podobne wątpliwości? Czy zestawiając kolejne edycje *Szkiców* kierujemy się wyłącznie pedanterią? Dlaczego dopisywanie *ex post* pewnych fragmentów dziennika, przeredagowywanie go i „retuszowanie”, jest zarzutem na tyle ciężkim, iż prowadzi do całkowitej dyskwalifikacji dzieła w oczach niektórych czytelników?

Oczywiście przyczyną jest odejście od imperatywów prawdy i szczerości, którymi winien w naszym odczuciu kierować się diarysta. W takiej perspektywie dziennik to literatura faktu, swoistego, subiektywnego, ale jednak dokumentu epoki. Takie spojrzenie na dziennik dominuje zwłaszcza w przypadku tak ważnego i obfitującego w dramatyczne wydarzenia okresu, jakim jest wojna. Czytelnik żąda od diarysty zaświadczenia dziejów, kroniki wydarzeń i traktuje wszelką fikcyjność czy kreacyjność jako niedopuszczalną. Autor dziennika zawiera przecież z czytelnikiem swoisty pakt autobiograficzny, który — jak za Lejeune'm przypominał Jarzębski — zakłada tożsamość autora, narratora i bohatera książki. W przypadku dziennika wojennego pakt autobiograficzny łączy się z referencjalnym, który utrzymuje, iż celem utworu jest „obraz rzeczywisto-

ści, a nie iluzja czy prawdopodobieństwo, utwory (...) mają dostarczyć informacji o jakiejś «rzeczywistości» pozatekstowej, informacji weryfikowalnej.”

Bobkowskiego oskarżano więc o złamanie takiego paktu w chwili, gdy decydował się na zmiany w swoim tekście.

Wydaje się wszakże, że pisarz — choć świadom swej roli kronikarza — nie w niej dostrzegał najistotniejszą wartość i prawdę *Szkiców piórkami*. O tym, że nie były one dla niego wyłącznie dokumentem dowodzą swoboda traktowania chronologii niektórych partii czy też zmiany ich stylu. Być może Bobkowski traktował swój dziennik jako swoistą powieść, o której napisaniu marzył przecież już przed 1939 r.

Patrzeć na *Szkice piórkami* jako na powieść nie byłoby zabiegiem wyjątkowym i oryginalnym. Głowiński podkreślał przecież, że coraz częściej czytelnik odbiera dziennik w kontekście zwyczajów wyniesionych z lektury powieści traktując go jak zorganizowaną całość i ujmując diarystę jako bohatera powieściowego. Podobnie postrzegają dziennik sami pisarze. Z ich perspektywy konwencje dziennika niewiele odbiegają od konwencji powieści. Między „ja” utrwalonym w słowie i „ja” rzeczywistym, przemijającym w czasie istnieje różnica, która pozwala traktować two-

zenie diarysty w kategoriach kreacji. Dlatego Lechoń pisał, iż „(...) w gruncie rzeczy dziennik to przecież nie jedna prawda o nas, tylko powieść o takim panu za jakiego się mamy. I pewnie byłoby lepiej po prostu napisać powieść.”

Bobkowski także był świadom tych aspektów diarystyki. Zwracał uwagę na deformującą rolę każdego zapisu: (...) to, co się pisze nawet natychmiast, jest zawsze trochę kłamstwem, zdeformowaną myślą, źle oddanym prawdziwym dźwiękiem” (25.11.40). Krytykując dziennik Gombrowicza za „nieprzytomne krygowanie się” zauważał, że „Naturalność też jest pozą, ale jest pozą najbardziej naturalną. (...) Nie grzeszy nią Gombrowicz. A zresztą któż nie kryguje się choćby trochę, gdy pisze dziennik obliczony na opublikowanie?”

Powyższe uwagi nie dowodzą oczywiście, że *Szkice piórkami* były świadomie pisaną powieścią. Spoglądając jednak na dziennik Bobkowskiego z perspektywy powieści pozwala się unikać pytań o „dopisywanie” i inaczej traktuje jego autentyzm. Pisany i redagowany przez wiele lat dziennik Bobkowskiego mógł być dokonywany z perspektywy dalekiej Gwatemali lekturą swego życia, porządkowania go w myśl pewnych zabiegów fabularnych i kreujących przeszłość tak, by w ostateczności nadać sens niezwykle dramatycznej, „samobójczej” decyzji porzucenia przez pisarza Europy. Stąd też bierze się bardzo spójny sens globalny, jaki czytelnik wynosi z lektury *Szkiców*.

Z mniejszym więc rygoryzmem traktujemy wąsko rozumiany doku-

mentalny walor książki Bobkowskiego. Bardziej interesująca wydaje się prawda osobowości narratora dziennika, która — jak pisał R. Pascal — „(...) nie zależy po prostu od przedstawienia faktów i zależności z jakimi ktoś z zewnątrz winien być zaznajomiony, lecz od tego jak przedstawia swój system wartości.” Innymi słowy po lekturze *Szkiców piórkami* pytamy nie o to czy Bobkowski dopisywał po wojnie pewne fragmenty, ale raczej pytamy czy militarne prognozy autora dziennika są zgodne z całością jego postrzegania świata, które prezentują inne fragmenty książki. Dlaczego bohater *Szkiców* jest tak przenikliwy i tak jasno widzi przyszłe kłęski? Wreszcie — to pytanie może najważniejsze — dlaczego jest tak wyjątkowy w swym pesymistycznym wieszczeniu?

Odpowiedzi na te pytania wyznaczają główne sensy *Szkiców piórkami* Andrzeja Bobkowskiego.

Maciej Urbanowski

¹ List do T. Terleckiego 20.2.1958

Listy Bobkowskiego cytuję z przygotowanego przez Jana Zielińskiego zbioru korespondencji pisarza, który od lat czeka na publikację w wydawnictwie ZNAK. Niniejszym pragnę gorąco podziękować panu Zielińskiemu i Wydawnictwu za możliwość zapoznania się z listami Bobkowskiego.

² Zob. Sz. Konarski, *Cztery lata w okupowanym Paryżu. 14 VI 1940–25 VIII 1944*, Paryż 1963.

³ W liście do A. Janty Bobkowski pisał (31.3.1949): „Nie wiem czy Pan wie, że w kraju zostałem już definitywnie obcięty, zakazany. Moja książka, za którą matka zainkasowała zaliczkę, wycofana w druku.”

⁴ List do S. Bobkowskiej 15.10.1947 i 21.3.1948.

ENCYKLOPEDIA SZKOLNA. HISTORIA

Wyd. I, format A-4, oprawa twarda: baladeks i obwoluta, stron 880, ilustracje i mapy barwne, cena 320000 zł

Zawiera około 2.000 haseł z historii powszechnej i historii Polski od pradziejów do 1945 roku, opracowanych przez 90 specjalistów.

Nie tylko ułatwia naukę, ale także pozwala rozszerzyć wiadomości z każdej dziedziny historii.

Encyklopedia zawiera znacznie bogatszy materiał niż przewidują to aktualne programy nauczania historii w szkole średniej.

Walory jej podnosi wyposażenie edytorskie, liczne tabele, ilustracje oraz 170 kolorowych map.

Niezbędna dla każdego ucznia, maturzysty, przyszłego studenta!

Zapraszamy do księgarni firmowych w Warszawie: ul. Kredytowa 9 i pl. Dąbrowskiego 8
(tel. 26-54-51 w. 180, 26-75-70, 26-01-76)

oraz w Krakowie, ul. Sławkowska 11, tel. 22-47-73, fax 22-31-28

Dział Sprzedaży Hurtowej WSiP

Warszawa, ul. Grochowska 21, tel. 610-69-06, tel/fax 610-67-95

Dział Handlowy WSiP

Warszawa, ul. Pankiewicza 3, tel. 21-26-39

DEKADA LITERACKA — dwutygodnik kulturalny. Wydawca: KRAKOWSKA FUNDACJA KULTURY, ul. Kanonicza 7, 31-002 Kraków, tel. 22-47-73. Adres redakcji: ul. Kanonicza 7. Redakcja: Marta Wyka (redaktor naczelny), Zbigniew Baran (sekretarz redakcji), Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski, Włodzimierz Maciąg, Aleksander Pieniek (grafik), Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska, Teresa Walas. Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Anna Baranowa, Wacław Iwaniuk (Kanada), Julian Kornhauser, Stanisław Lem, Jerzy Lohman, Leszek A. Moczulski, Maria Niemojowska (Londyn), Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Małgorzata Ruda, Jan Józef Szczepański, Witold Turdza. Skład i łamanie: ARTA WYDAWNICTWO, Kraków, Rynek Gł. 30, tel. (0-12) 22-95-98, 22-97-71, fax (0-12) 22-58-70. Druk: Drukarnia ASSICO, 90-532 Łódź, ul. ks. Skorupki 17/19. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: kwartalna wynosi 55 000 zł, półroczna 110 000 zł, a roczna 220 000 zł; za granicą kwartalna wynosi (licząc w dolarach USA) 10\$, półroczna 20\$, a roczna 30\$. Wpłaty prosimy dokonywać na: Krakowska Fundacja Kultury, Bank Przemysłowo-Handlowy, IV Oddz. w Krakowie — nr 323415-709987-132-3 ISSN 0867-4094

Podróże kształcą

Teresa Walas

Jak każdy człowiek wygodny i niesklonny do ryzyka i ja ulegam niekiedy pokusie przygody. Tym razem zadawszy gwałt swojej naturze dałam się nakłonić do wyjazdu nad Jezioro Charzykowskie, co dla mieszkańca Polski południowej oznacza długotrwałe i żmudne poruszanie się po przekątej Trzeciej Rzeczypospolitej, zajętej przechodzeniem z postkomunizmu do nikomu bliżej nieznanego kapitalizmu, nie przywiązującej natomiast na razie większej wagi do stanu dróg bitych. Niestety, znad jeziora musiałam powrócić państwowymi już środkami lokomocji, mając na dodatek pod opieką dwunastoletnią córkę przyjaciół, zwaną w domu Sorayą, patrzyła bowiem na świat uwodzicielskimi oczyma pięknej i nieszczęśliwej szachowej, której dzieje dawno pogrzały się w niepamięci. Patrzyła, wyznać trzeba, niechętnie i wrogo, ponieważ przechodziła okres burzy i naporu, co dźwięcznie napinało jej stosunki z otoczeniem.

Moje doświadczenia kolejowe naznaczone są głębokim urazem z dzieciństwa, kiedy to wielokrotnie wciągano mnie przez okno do jadącego nad morze pociągu; i nic — żadne rozkosze późniejszych luksusowych podróży, blask lotnisk, czule uśmiechy stewardess nie zdołały zatrzeć, ani nawet przyćmić wspomnienia jazdy na korytarzu w niewielkiej odległości od klozetu, do którego ze zrozumiałą determinacją przedzierali się kolejni towarzysze podróży niedoli. Dlatego, choć wszyscy przysięgali, że pociągi dalekobieżne zieją dzisiaj pustką, a pasażerowie przebiegają w panice przez ich rozchybotane wnętrza, by natrafić na ślad człowieka przyczajonego lekliwie w kącie przedziału, choć z oczu mojej małej Sorayi wylewano się wprost politowanie, ja wyposażona w swój uraz jak w złoty ząb, udałam się na dworzec w Bydgoszczy trzy kwadranse wcześniej niż należało, wraz bowiem z urazem przetrwała we mnie pamięć o zjawisku wcześniejszego podstawiania pociągów, które już na bocznicach tracą miejsca siedzące, zajmowane przez skorumpowanych kolejarzy.

I w istocie: pociąg nasz nie tylko stał na peronie, ale intensywnie wypełniał się pasażerami, tak że dopiero w czwartym z kolei przedziale wagonu pierwszej klasy znalazłyśmy dwa miejsca wolne. Vis à vis miałyśmy młode małżeństwo z małym dzieckiem, po lewej zaś stronie panią pograżoną w lekturze „Gazety Wyborczej”. Obok małżeństwa leżał na siedzeniu plecak i torba, co mogło oznaczać osobę nieobecną, która wyskoczywszy po pepsico lub hamburgera zabezpieczyła w ten sposób swoje prawa. Czas płynął, pociąg wzbierał coraz większą ilość ludzi i z rozzerwieniem myślałam o pożytkach, jakie płyną z urazów dzieciństwa. Przez korytarz przesuwali się wciąż nowi osobnicy poszukujący miejsc, a ich tropiący wzrok zatrzymywał się na torbie i plecaku. Co śmielsi pytali: „Zajęte?”, na co młoda para odpowiadała nieodmiennie zgodnym chórem: „Tak, zajęte”. Ich wszakże twardniejące spojrzenia i nieublaganie biegnące minuty, które dzieliły nas od momentu odejścia pociągu, pozwalały powziąć podejrzenie: oto za pomocą torby i plecaka młodzi toczą psychologiczną walkę o miejsce leżące dla dziecka. Ich determinacja rozpalala we mnie ogień niezdrowych emocji, wśród poszukujących bowiem wolnych miejsc zaczęły pojawiać się postacie, których wygląd i kondy-

cja fizyczna naznaczały sytuację nowym dramatyzmem. Najpierw do naszego przedziału zażrzała osoba w średnim co prawda wieku, ale z bardzo wysoką nadwagą. Potem starszek, krzepki wprawdzie, ale na tyle leciwy, że mógł pamiętać wymarsz Pierwszej Kadrowej, jeśli przypadek postawił go na rogu Oleandrów. Młodzi najwidoczniej pasowali się z sobą moralnie, ale instynkt rodzicielski i zdrowy pragmatyzm wciąż brał górę nad solidarnością społeczną. Śledziłam ich walkę z zapartym tchem. Nie ugięli się na widok zakonnicy, nie poddali się w obliczu bladej i wyniszczonej niewiasty, której spojrzenie wykoleiłoby najzwardzialszego liberała; nie poruszył ich kilkunastoletni chłopczyk z dużą walizką. Czekalam w podnieceniu na moment, gdy do przedziału wejdzie matka z dzieckiem na rękę i sytuacja osiągnie wymiar tragedii antycznej.

Tymczasem pociąg ruszył, para wyraźnie się odprężyła, plecak pozostawał na swoim miejscu. W tym właśnie momencie odsunął drzwi zdyszany mężczyzna po czterdziestce z małym sakwojażykiem w rękę. „Wolne?” spytał z uśmiechem mieszając w tonie stanowczość z nadzieją. Młodzi wymienili spojrzenia i wyszeptali: „Wolne”. Plecak znalazł się na półce, rodzina przesunęła się w stronę okna, a przybysz zajął miejsce przy drzwiach wyciągając swobodnie nogi i trącając przy tym lekko mnie i moją Sorayę. Gdy przeprosił, posłała mu najpromienniejsze ze swoich spojrzeń, nieużywane od co najmniej kilku miesięcy.

Podróż minęła nam na wyszukiwaniu sposobów, by mu się przypodobać. Małżeństwo, które z zsuniętych nóg uczyniło leżę dla swego dziecka, poczęstowało go pomarańczą, siedząca obok nas pani zaproponowała połowę „Gazety Wyborczej”. Ja zachowywałam się biernie, co wynikało z tego, że grałam o najwyższą stawkę. Pragnęłam, żeby mnie pokochał. Na zawsze i od pierwszego spojrzenia. Ani kanapka z szynką, którą podawałam Sorayi, ani jabłko mimo rajszych zaszczytów, nie mogły być właściwym środkiem do celu. Cierpiałam, że nie mam głosu Jeanne Moreau, ciała Rachel Welch, włosów modelki reklamującej szampon L'Oréal. Chciałam olśnić go inteligencją nawiązując delikatny dialog z Sorayą, ale mała bestia milczała jak zaklęta, patrząc na mnie wzrokiem dorosłej kobiety, który nie wróżył nic dobrego. Przybysz inkasował dowody naszych uczuć z cierpliwą aprobata. Uśmiechnął się do dziecka, zamienił parę zdań z właścicielką „Gazety Wyborczej”, ciepło, choć bez perwersyjnego zainteresowania popatrywał na Sorayę; ze mną wymienił spojrzenie, które mogło oznaczać wszystko. Potem zasnął i obudził się, gdy pociąg wolno przetaczał się przez Warszawę Zachodnią. Wziął swój neseser, pożegnał się i wyszedł zanim dojechalismy do Warszawy Centralnej. Nawet nie próbowaliśmy ukrywać naszego osierocenia.

Oczywiście mógł czekać na peronie przyczajony za osłoną telefonicznej budki. Ale zanim zdołałam się rozejrzeć, podszedł mój przyjaciel, który, by odebrać nas z pociągu, przejechał pół Warszawy i porzucił będący właśnie w pełnym rozkwicie bankiet wydany na cześć znanego filozofa. Był jak zawsze dobry, czuły i troskliwy. Niosąc do samochodu nasze torby pytał o podróż. Milczałyśmy obie. Wrogo i niewdzięcznie.



Rys. Aleksander Pieniek

HYDE PARK Czytelników

Minęły wakacje (przynajmniej dla niektórych) i znów wracamy do prezentacji najciekawszych dokonań naszych korespondentów. Z nadesłanego z Myślenic zestawu siedmiu wierszy KARINY KICZEK, uczennicy tamtejszego LO najbardziej przemówił do nas oszczędny w środkach wyrazu, ale i dramatyczny tekst pt. *Mgła*.

MGŁA

Mgła...

Zaluzje tną na paski
bezład istniejący nad oknem
i cudnie, że jest
jesienna mgła

On krzyczy i biega po mieszkaniu,
trzaskając drzwiami i słowami...
On wrzeszczy w pijanych odnętach,
burzy się...

Ona w łazience zamknięta
puszcza głośno wodę,
żeby nie było słychać
jej płaczu.

WITOLD TURDZA

ODKRYWA NIEZNANE ARCYDZIELA

Polacy rzadko zwiedzają Sycylię, ale jednak i to się zdarza. Krystynie C. przytrafiło się tam coś niezwykłego. Będąc w Taorminie kupiła na pamiątkę próbki różnych skał, w tym także lawę Etny. Można je tam dostać w wielu sklepikach — wytwornie opakowane lub tylko zawinięte w papier. Polka wybrała, jak można przypuszczać, tańsze opakowanie. Była to zapewne konieczność, ale też przedziwna intuicja i niesamowity przypadek. Bo kiedy po podróży Krystyna C. rozpakowała suvenir, spostrzegła, że zawinięto go w jakiś rękopis. Ale nie były to rachunki właścicielki sklepu. To były wiersze! I co najdziwniejsze — pisane po polsku!

Jakim sposobem dostały się w posiadanie sklepikarki, być może da się ustalić i z pewnością byłoby to interesujące. Łatwiej byłoby wtedy odpowiedzieć na pytanie o wiele ciekawsze, mianowicie kto jest autorem owych wierszy. Odpowiedź na nie — paradoksalnie — jest chyba prostsza niż się wydaje. Styl i tematyka utworów prowadzą do jednej osoby: Jarosława Iwaszkiewicza. Poeta i pisarz wiele razy podróżował na Sycylię, zachwycał się jej przyrodą i zabytkami, zwłaszcza Taorminą, która pobudzała jego natchnienie i skłaniała do przemyśleń. Napisał tam wiele wierszy. Czy te, które owijały lawę wulkanu, zgrubił w ruinach amfiteatru czy też podarował komuś — to

w gruncie rzeczy obojętne. Ważne, że poprzez sklepikarza ujrzały światło.

A swoją drogą, historia niekiedy lubi się powtarzać. Kiedyś Europa odkryła grafikę japońską używaną właśnie jako opakowania towarów. Teraz w ten sam sposób zostały odkryte wiersze Iwaszkiewicza.

Jarosław Iwaszkiewicz

Sonety sycylijskie

XII Monreale

Taka tu cisza wielka. Błękit jak baldachim
Zamyka mi nad głową rozpalone płótno

I nie wiem czemu jest mi tak ogromnie smutno,
Gdy stoję pod krużganku tego arkadami.

Kolumienki winograd jedwabny oplata,
A one są jak struny harfy miódopływne,
Lub raczej jak rzeźbione, misterne i zimne
Kropelki zastygłego w ciszy pizzicata,

Co ze szklistego chłodu złocistego cienia,
Jak zaklęty w kamieniu jasny cud spełnienia,
Pochodem białym tryska i pierzcha
w słoneczność.

Ach, wszystkie bym pyszności oddał
tego świata
Za doskonałą piękną pieśń. W niebo ulata
I sypki czas zamienia w nieśmiertelną
wieczność.